R G B WH GR BL Grey Scale #13 C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches Centimetres
DANES-PICTA.COM

DZIEŁA·FRYDERYKA ·NIETZSCHEGO·

DZIEŁA · FRYDERYKA · NIETZSCHEGO ·

DZIEŁA FRYD. NIETZSCHEGO

W PRZEKŁADZIE WACŁAWA BERENTA, KONRADA DRZEWIECKIEGO, LEOPOLDA STAFFA I STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO WYDAŁ JAKÓB MORTKOWICZ

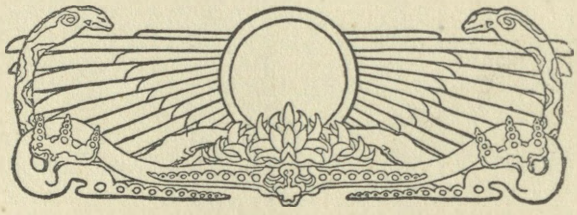

WARSZAWA MCMX—MCMXI

T. 14

FRYDERYK NIETZSCHE

ECCE HOMO

JAK SIĘ STAJE — KIM SIĘ JEST

PRZEŁOŻYŁ

LEOPOLD STAFF

Emilia Czosnkowa

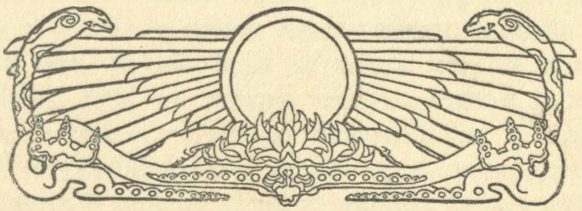

NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA

92(Nrck.) : 14a

30878/2

Wydanie drugie, przejrzane i ponownie porównane z oryginałem.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

PRZEDMOWA.

PRZEWIDUJĄC, że wkrótce stanę przed ludzkością z najtrudniejszem, jakie jej kiedykolwiek postawiono, wymaganiem, zda mi się niezbędnem rzec, kim jestem. W gruncie winnoby się to wiedzieć: gdyż nie omieszkałem »zaświadczyć o sobie«. Nierówność stosunku między wielkością mego zadania a małością moich współczesnych znalazła wyraz w tem, że ani mnie słyszano, ani też choćby widziano. Żyję na własny kredyt, przesąd to może tylko, że żyję?... Dość mi pomówić jeno z kimkolwiek »wykształconym«, który latem przyjedzie do Engadynu Wyżniego, by się przekonać, że nie żyję... W okolicznościach tych jest obowiązkiem, przeciw któremu powstaje w gruncie mój nawyk, bardziej jeszcze duma instynktów moich, rzec: Słuchajcie mnie! bom ten a ten. Przedewszystkiem nie bierzcie mnie za kogo innego!

2.

Nie jestem naprzykład zgoła straszydłem, zgoła potworem moralnym, — natura moja jest nawet przeciwieństwem człowieka tego rodzaju, który czczono dotąd, jako cnotliwy. Między nami mówiąc, zda mi się, że właśnie to moją stanowi dumę. Jestem uczniem filozofa Dyonizosa, wolałbym być raczej jeszcze satyrem, niż świętym. Może udało mi się, może pismo to zgoła innego nie miało znaczenia, jak przeciwieństwu temu dać wyraz w sposób pogodny i ludziom przyjazny. W tem, cobym ja przyrzekał, ostatniemby było »polepszać« ludzkość. Nie wznoszę zgoła nowych bożyszcz; stare niech uczą, jak z glinianemi bywa nogami. Bożyszcza — mój wyraz na ideały — obalać, już to raczej należy do mego rzemiosła. Pozbawiono rzeczywistość w tym stopniu wartości, sensu, prawdziwości, jak świat idealny zełgano... »Świat prawdziwy« i »świat pozorny« — po naszemu: świat zełgany i rzeczywistość... Łgarstwo ideału było dotąd przekleństwem na rzeczywistości ciążącem, ludzkość sama stała się przez nie aż do najniższych swych instynktów łgarską i fałszywą, aż do uwielbienia wartości przeciwnych tym, któreby jej dopiero były poręką rozwoju, przyszłości, wielkiego prawa do przyszłości.

3.

Kto umie oddychać powietrzem pism moich, wie, że jest to powietrze wyżynne, ostre powietrze.

Trzeba być do niego stworzonym, inaczej grozi niemałe niebezpieczeństwo przeziębienia się. Lód blizko, samotność potworna — lecz jakże cicho spoczywa wszystko w świetle! jak się swobodnie oddycha! ileż rzeczy się czuje pod sobą! — Filozofia, jak jam ją dotąd rozumiał i przeżywał, jest życiem dobrowolnem wśród lodów i szczytów — poszukiwaniem wszystkiego, co obce i godne pytania w istnieniu, wszystkiego, co moralność dotąd pod klątwą dzierżyła. Z długiego doświadczenia, które mi dała taka wędrówka po zakazanem, nauczyłem się patrzeć inaczej, niżby sobie życzono, na przyczyny, z których moralizowano i idealizowano dotychczas: ukryte dzieje filozofów, psychologia ich wielkich imion wyszła mi na jaw. — Ile prawdy znosi, na ile prawdy waży się duch? to coraz bardziej stawało się dla mnie właściwym wartości miernikiem. Błąd (— wiara w ideał —) nie jest ślepotą, błąd jest tchórzostwem... Każda zdobycz, każdy krok naprzód w poznaniu wynika z odwagi, z twardości względem siebie, ze schludności względem siebie... Nie obalam ideałów, wkładam jeno rękawiczki przed nimi... *Nitimur in vetitum:* pod tym znakiem zwyciężyły moja filozofia, bo zakazywano dotąd zasadniczo zawsze tylko prawdy. —

4.

Pośród pism moich sam dla siebie miejsce zajmuje mój Zaratustra. Uczyniłem nim ludzkości największy dar, jaki jej dotąd uczyniono. Księga ta, głosem

sięgająca poprzez tysiąclecia, jest nietylko najwyższą księgą, jaka istnieje, właściwą księgą o powietrzu wyżyn — cały fakt, jakim jest człowiek, leży w dali niezmiernej pod nią — jest także najgłębszą, z najwnętrzniejszego bogactwa prawdy urodzoną, niewyczerpaną studnią, w którą żadne nie zanurza się wiadro, by nie wypłynąć złota i dobroci pełne. Nie przemawia tu »prorok«, nikt z owych dreszczem przejmujących mieszańców choroby i woli mocy, których założycielami religii się zowie. Trzeba przedewszystkiem słyszeć właściwie ton, który z ust tych wychodzi, ten ton halkioński, by w sposób politowania godny krzywdy nie czynić sensowi jego mądrości: »Najcichsze to są słowa, co burzę przynoszą, myśli, co na stopach gołębich przychodzą, kierują światem —«.

Figi z drzew padają, są dobre i słodkie: i gdy padają, pęka im skóra czerwona.

Jam wiatr północny figom dojrzałym.

Więc, figom podobne, wam przypadają w dziale te nauki, przyjaciele moi: pijcie ninie ich sok i słodki miąższ!

Jesień wokoło i niebo czyste i popołudnie —

Nie przemawia tu zagorzalec, tu się nie »każe«, tu nie wymaga się wiary: z bezgranicznej pełni światła i głębi szczęścia pada kropla po kropli, słowo po słowie — łagodna powolność jest tempem tych mów. Coś podobnego dochodzi jeno do najbardziej wybranych; nieporównany to przywilej być tu słuchaczem; nikomu nie dano do woli, dla Zaratustry mieć uszy... Nie jestże Zaratustra tedy kusicielem?... Lecz cóż to on sam przecie mówi, gdy po raz pierwszy znów w samotność wraca swoją? Wła-

śnie przeciwieństwo tego, coby jakiś »mędrzec«, »święty«, »zbawiciel świata« i inny *décadent* rzekł w takim wypadku... Nietylko mówi on inaczej, on jest też inny...

Sam idę, uczniowie moi! I wy odejdźcie precz, i sami! Tak chcę!

Idźcie ode mnie precz i brońcie się przeciw Zaratustrze! I lepiej jeszcze: wstydźcie się go! Może oszukał was. Człowiek poznający nietylko kochać musi wrogi swoje, musi też umieć nienawidzieć swych druhów.

Zła to odpłata nauczycielowi, gdy się zawsze jeno uczniem pozostaje. I czemu z wieńca mego rwać nie chcecie?

Czcicie mnie: lecz cóż, gdy dnia pewnego upadnie wasza cześć? Strzeżcie się, aby jaki posąg was nie zabił!

Mówicie, że wierzycie w Zaratustrę? Lecz cóż zależy na Zaratustrze? Wyście wyznawcy moi, lecz cóż zależy na wszystkich wyznawcach!

Nie szukaliście jeszcze siebie, więc znaleźliście mnie.

Tak czynią wszyscy wyznawcy; przeto tak mało warta wszelka wiara.

Ninie rozkazuję wam zgubić mnie, a znaleźć siebie; i dopiero, gdy wszyscy zaprzecie się mnie, powrócę do was...

Fryderyk Nietzsche.

Tego dnia doskonałego, gdy wszystko dojrzewa i nietylko grono winne brunatnieje, padł właśnie promień słońca na me życie; patrzyłem wstecz, patrzyłem przed się, nigdym nie widział tyle i tak dobrych rzeczy naraz. Nienapróżnom pogrzebał dziś swój rok czterdziesty czwarty, wolno mi było go pogrzebać, — co było życiem w nim, jest ocalone, jest nieśmiertelne. Pierwsza księga Przemiany wszystkich wartości, Pieśni Zaratustry, Zmierzch bożyszcz, moja próba filozofowania młotem — wszystko dary tego roku, nawet ostatniej roku ćwierci! Jakżebym nie miał całemu życiu swemu wdzięczen być? — I tak opowiadam sobie swe życie.

DLACZEGO JESTEM TAK MĄDRY. Szczęście mego istnienia, jego jedyność może, leży w jego fatalności: wyrażając to w formie zagadki, jako ojciec mój już umarłem; jako matka moja żyję jeszcze i starzeję się. To pochodzenie podwójne, niejako od najwyższego i najniższego szczebla u drabiny życia, zarazem *décadent* i początek — jeśli co, to to wyjaśnia ową bezstronność w stosunku do zbiorowego problematu życia, ów brak uprzedzenia, który mnie może odznacza. Posiadam dla oznak wschodu i zachodu węch czulszy, niż jakikolwiek posiadał człowiek, co do tego jestem nauczycielem *par excellence*, — znam jedno i drugie, jestem jednem i drugiem. — Ojciec mój umarł licząc trzydzieści sześć lat: był wątły, miły i słabowity, jak przeznaczona jeno do przejścia istota, — raczej dobrotliwe wspomnienie o życiu, niż życie samo. W tym samym roku, w którym jego życie ku dołowi się miało, miało się ku dołowi i moje: w trzydziestym szóstym roku życia doszedłem do najniższego punktu żywotności, — żyłem jeszcze, nie widząc jednak na trzy kroki przed

sobą. Wówczas — było to r. 1879 — złożyłem profesurę bazylejską, przeżyłem lato niby cień w St. Moritz i zimę następną, najuboższą w słońce zimę swego życia, jako cień w Naumburgu. To było moje *minimum:* »Wędrowiec i jego cień« powstał w tym czasie. Niewątpliwie, znałem się wówczas na cieniach... Zimy następnej, pierwszej mej zimy genueńskiej, zrodziło owo przesłodzenie i przeduchowienie, których warunkiem nieledwo jest skrajne ubóstwo krwi i mięśni, zrodziło »Jutrzenkę«. Doskonała jasność i pogoda, nawet bujność ducha, którą wspomniana odzwierciadla księga, godzi się we mnie nietylko z najgłębszą słabością fizyczną, lecz nawet z bólu nadmiarem. Wśród katuszy, które przynosi z sobą nieprzerwany trzydniowy ból mózgu wraz z uciążliwymi wymiotami śluzu, — posiadałem jasność dyalektyczną *par excellence* i przemyśliwałem z krwią bardzo zimną rzeczy, dla których w warunkach zdrowszych nie dość wspinać się umiem, nie dość jestem rafinowany, nie dość zimny. Czytelnicy moi wiedzą może, jak dalece uważam dyalektykę za objaw *décadence*, naprzykład w przenajsławniejszym wypadku, jakim jest Sokrates. — Wszystkie chorobliwe zaburzenia intelektu, nawet owo połowiczne ogłuszenie, które towarzyszy gorączce, pozostały mi po dziś dzień rzeczami obcemi, o których naturze i częstości pouczyć się dopiero musiałem w drodze naukowej. Krew moja bieży powoli. Nikt nie mógł nigdy stwierdzić u mnie gorączki. Lekarz, który mnie leczył przez czas dłuższy jako chorego na nerwy, rzekł w końcu: »Nie! Nerwy pańskie tu nie winny, to ja sam jestem nerwowy«. Bezwzględnie nie da się wykazać żadne zwyrodnienie miejscowe; żadne z przy-

czyn organicznych wynikające cierpienie żołądka, aczkolwiek istnieje, jako skutek wyczerpania ogólnego, najcięższa słabość systemu gastrycznego. Również cierpienie oczu, okresami niebezpiecznie do ślepoty zbliżone, jest jeno skutkiem, nie przyczyną: tak, że z przybytkiem siły życiowej przybywało i siły widzenia. — Długi, zbyt długi szereg lat oznacza u mnie powrót do zdrowia, oznacza też niestety zarazem powrót choroby, upadek, peryodyczność pewnego rodzaju *décadence*. Trzebaż mi, wobec tego, rzec, że w zagadnieniach *décadence* mam doświadczenie? Przesylabizowałem je naprzód i wstecz. Nawet owej filigranowej sztuki ujmowania i pojmowania wogóle, owego zmysłu do odcieni, owej psychologii »patrzenia z za węgła« i co mi prócz tego właściwe, nauczyłem się wówczas dopiero; wszystko to właściwy dar owego czasu, gdy wszystko subtelniało we mnie, postrzeganie samo, jak i narządy postrzegania. Z punktu widzenia chorego spoglądać ku zdrowszym pojęciom i wartościom, i znów odwrotnie z pełni i pewności siebie życia bogatego na tajemną robotę instynktu *décadence* — to najdłuższem mem było ćwiczeniem, mem doświadczeniem właściwem, jeśli w czem, to w tem stałem się mistrzem. Mam to teraz w palcach, mam palce po temu, przestawiać perspektywy: pierwszy powód, dlaczego może dla mnie jednego »Przemiana wartości« jest wogóle możliwa.—

2.

Pomijając bowiem, że jestem *décadent*, jestem też jego przeciwieństwem. Dowodem moim na to jest

między innymi, że instynktownie przeciw złym stanom zawsze właściwe wybierałem środki: gdy tymczasem *décadent* istotny zawsze sobie szkodliwe środki wybiera. Jako *summa summarum* byłem zdrów, jako kąt, jako specyalność byłem *décadent*. Owa energia, prąca do bezwzględnego osamotnienia i wydobycia się z nawykowych stosunków, mus sobie zadawany, by nie dać się odtąd pielęgnować, obsługiwać, otaczać lekarzami — zdradza bezwarunkową pewność instynktu w tem, czego wówczas przedewszystkiem było potrzeba. Sam siebie wziąłem w garść, sam siebie uzdrowiłem: pierwszym do tego warunkiem — każda fizyologia to przyzna — że się w gruncie jest zdrowym. Typowo słabowita istota nie może ozdrowieć, tem mniej sama uzdrowić siebie; dla typowo zdrowego może przeciwnie chorzenie być nawet energicznem *stimulans* do życia, do więcej życia. Tak w samej rzeczy wydaje mi się teraz ów długi czas choroby: odkryłem życie niejako na nowo, jak i samego siebie, raczyłem się smakiem wielu dobrych a nawet małych rzeczy, jakiemi inni niełatwo raczyćby się mogli — uczyniłem z swej woli zdrowia, życia, filozofię swoją... Bo zważcie: były to lata najniższej żywotności mojej, gdym przestał być pesymistą; instynkt wrócenia do zdrowia zabronił mi filozofii ubóstwa i zniechęcenia... A po czem poznaje się w gruncie, że człowiek się udał! Po tem, że człowiek udany mile nam działa na zmysły: że wyrzeźbiony jest z drzewa, które jest twarde, delikatne i wonne zarazem. To mu smakuje tylko, co jest dlań korzystne; upodobanie jego, rozkosz jego ustaje, gdzie coś przekracza miarę korzystności. Odgaduje on środki lecznicze przeciw uszkodzeniom, wyzyskuje złe

przypadki na swój pożytek; co go nie zabija, czyni go mocniejszym. Z wszystkiego, co widzi, słyszy, przeżywa, gromadzi swoją summę: jest zasadą wybierającą, pozwala wielu rzeczom przepadać. Jest zawsze w swojem towarzystwie, czy to obcuje z książkami, ludźmi lub okolicami: cześć okazuje, kiedy wybiera, dopuszcza, darzy zaufaniem. Oddziaływa na wszelkiego rodzaju podniety zwolna, z ową powolnością, której nauczyła go przezorność i duma rozmyślna, — bada podnietę nadchodzącą, daleki od tego, by jej naprzeciw wychodzić. Nie wierzy ani w »nieszczęście«, ani w »winę«: załatwia się z sobą, z innymi, umie zapominać, — jest dość silny, by mu wszystko na dobre wyjść musiało. — A więc jestem przeciwieństwem *décadent:* bom właśnie opisał siebie.

3.

Ten szereg podwójny doświadczeń, ten dostęp do pozornie rozdzielonych światów powtarza się w naturze mej pod każdym względem, — jestem sobowtórem, mam też drugie jeszcze oblicze prócz pierwszego. A może jeszcze też trzecie... Już samo pochodzenie moje pozwala mi na spojrzenie poza wszystkie, jedynie miejscem, jedynie narodem uwarunkowane perspektywy, nie kosztuje mnie nic być »dobrym Europejczykiem«. Z drugiej strony jestem może bardziej niemiecki, niżby Niemcy dzisiejsi, zwykli obywatele państwa niemieckiego, być jeszcze mogli — ja, ostatni Niemiec antypolityczny. A przecie przodkowie moi byli szlachtą polską:

stąd to posiadam we krwi wiele instynktów rasowych, kto wie? może nawet *liberum veto?* Jeśli pomyślę, jak często w drodze przemawiają do mnie jako do Polaka i to Polacy sami, jak rzadko biorą mnie za Niemca, to mogłoby się zdawać, że należę tylko do Niemców nakrapianych. Lecz matka moja, Franciszka Oehler, jest w każdym razie czemś bardzo niemieckiem; podobnież babka moja ze strony ojcowskiej, Erdmuta Krause. Ostatnia przeżyła całą młodość w dobrym starym Weimarze, nieobca kołu Goethego. Brat jej, profesor teologii Krause w Królewcu, powołany został po śmierci Herdera na generalnego superintendenta do Weimaru. Nie jest niemożliwem, że matka ich, moja prababka, występuje jako »Muthgen« w dzienniku młodego Goethego. Wyszła powtórnie za mąż za superintendenta Nietzschego w Eilenburgu; w dniu wielkiego roku wojny 1813, kiedy Napoleon z sztabem generalnym wkroczył do Eilenburga, 10 października, odbywała połóg. Jako Saksonka, była wielką Napoleona czcicielką; być może, że i ja jeszcze nim jestem. Ojciec mój, urodzony r. 1813, zmarł r. 1849. Zanim objął probostwo gminy Röcken w pobliżu Lützen, przebywał lat kilka na zamku altenburskim i uczył cztery tamtejsze księżniczki. Uczennicami jego są królowa hanowerska, wielka księżna Konstantynowa, wielka księżna oldenburska i księżna Teresa sasko-altenburska. Był pełen głębokiej czci dla króla pruskiego Fryderyka Wilhelma Czwartego, od którego też swoje otrzymał probostwo; wypadki r. 1848 zasmuciły go niezmiernie. Ja sam, urodzony w dzień urodzin wspomnianego króla, 15 października, otrzymałem, jak słuszna, hohenzollernowskie imiona Fry-

deryka Wilhelma. Jedną korzystną stronę miał w każdym razie wybór dnia tego: urodziny moje były w ciągu mego dzieciństwa całego świętem. — Uważam to za wielki przywilej, żem takiego miał ojca: zda mi się nawet, że tem tłumaczy się wszystko, co zresztą z przywilejów posiadam, — życia, wielkiego »tak« względem życia nie wliczając. Przedewszystkiem, że nie trzeba mi na to postanowienia, tylko prostego przeczekania, by wejść mimowolnie w świat rzeczy wysokich i subtelnych: tam jestem w domu, najwnętrzniejsza namiętność moja dopiero tam wolna się staje. Żem ten przywilej nieledwo życiem zapłacił, to z pewnością nie jest targ niesprawiedliwy. — By tylko coś niecoś z mego Zaratustry zrozumieć, trzeba być może w warunkach podobnych, jak ja jestem — jedną nogą po tamtej stronie życia...

4.

Nie znałem nigdy sztuki uprzedzania do siebie — także i to zawdzięczam swemu niezrównanemu ojcu —, i nawet wówczas, kiedy mi to wielką zdało się mieć wartość. Nie jestem, choć nie po chrześcijańsku zdawać się to może, uprzedzony nawet do siebie. Można tak i siak nicować me życie, zrzadka tylko, w gruncie raz jeden jedyny znajdzie się w niem ślady, że ktoś względem mnie żywił złą wolę, — może jednak nieco za wiele śladów dobrej woli... Doświadczenia moje nawet z tymi, na których każdy źle wychodzi, przemawiają bez wyjątku za nimi; obłaskawiam każdego niedźwiedzia, przyzwoitości nawet błaznów uczę. W ciągu siedmiu lat, gdy w pedagogium bazylejskiem

uczyłem po grecku, nie miałem zgoła powodu do wymierzenia kary; najleniwsi byli u mnie pilni. Przypadkowi zawszem sprostać umiał; muszę być nieprzygotowany, by być panem siebie. Choćby instrument był jaki chce, nawet tak rozstrojony, jak tylko instrument »człowiek« rozstrojony być może — musiałbym chorym być, gdyby mi się udać nie miało wydobyć zeń coś, co da się słuchać. I jakże często od samych tych »instrumentów« słyszałem, że jeszcze nigdy t a k się nie słyszały... Najpiękniej może od owego nieodżałowanie młodo zmarłego Henryka von Stein, który raz po starannie zasięgniętem pozwoleniu, zjawił się na trzy dni w Sils-Maria, oświadczając każdemu, że n i e dla Engadynu przybywa. Ten doskonały człowiek, który z całą nieposkromioną naiwnością junkra pruskiego zabrnął w bagno wagnerowskie (— a nadto jeszcze w bagno Dühringa!) był te trzy dni jakby zmieniony od burzliwego wichru wolności, jak ktoś, kto nagle na s w o j ą wyżynę się wznosi i skrzydeł dostaje. Mówiłem mu zawsze, że sprawia to czyste powietrze tu w górze, że tak dzieje się każdemu, że nienapróżno jest się 6.000 stóp nad Bayreuthem — lecz nie chciał mi wierzyć... Jeśli mimo to dopuszczono się na mnie niejednej małej i wielkiej zbrodni, to nie »wola«, tem mniej z ł a wola była tego przyczyną: raczej mógłbym już — zaznaczyłem to wyżej — uskarżać się na dobrą wolę, która nie mało psoty wyrządziła mi w życiu. Doświadczenia moje dają mi prawo do nieufności wogóle względem tak zwanych popędów »bezosobistych«, całej do rady i czynu gotowej »miłości bliźniego«. Uważam ją w istocie samej za słabość, za poszczególny wypadek niezdolności oporu wobec pod-

niet, — litość zwie się tylko u *décadents* cnotą. Zarzucam litościwym, że tracą łatwo wstyd, cześć, delikatność wobec odległości, że litość na zawołanie cuchnie motłochem i podobna jest do złudzenia złym manierom, — że litościwe ręce w pewnych okolicznościach mogą właśnie niszczycielsko sięgać w wielkie przeznaczenie, w osamotnienie wśród ran, w przywilej na ciężką winę. Przezwyciężenie litości zaliczam do cnót dostojnych: odtworzyłem w pieśni jako »Kuszenie Zaratustry« wypadek, gdy dochodzi go wielkie wołanie na pomoc, gdy litość jako ostatni grzech chce go opaść, skłonić do przeniewierstwa względem siebie. Tu pozostać panem, tu wyżynę zadania swego utrzymywać w czystości od niższych o wiele i krótkowzroczniejszych zapędów, które działają w tak zwanych postępkach »bezosobistych«, oto próba, ostatnia może próba, którą ma odbyć Zaratustra — ostatni dowód siły.

5.

Jeszcze na innym też punkcie jestem tylko swym ojcem raz jeszcze i niejako jego dalszem życiem po śmierci przedwczesnej. Podobnie każdemu, który nie żył nigdy wśród równych sobie i dla pojęcia »odpłaty« jest tak niedostępny, jak chyba dla pojęcia »praw równych«, zabraniam sobie w wypadkach, gdy popełnia się względem mnie małe lub bardzo wielkie głupstwo, wszelkich kroków odpornych, wszelkich środków ochronnych, — jak słuszna, też wszelkiej obrony, wszelkiego »usprawiedliwiania się«.

Mój rodzaj odpłaty polega na tem, by jak najprędzej, w lot za głupotą, wysłać jakąś mądrość a tak może tamtą jeszcze dogonić. Mówiąc przenośnią: wysyłam garniec konfitur, by pozbyć się kwaśnej historyi... Niech mi tylko kto co złego wyrządzi, »odpłacę«, można być pewnym: wnet znajdę sposobność wyrazić swe dzięki »złoczyńcy« (nawet za jego zły uczynek) — lub go o coś poprosić, co może być bardziej obowiązujące, niż coś dać... Zda mi się także, że najgrubsze słowo, najbardziej grubijański list grzeczniejszy jest, przyzwoitszy, niż milczenie. Tym, którzy milczą, brak prawie zawsze delikatności i dobroci serca; milczenie jest zarzutem, połykanie urabia siłą konieczności zły charakter, — psuje nawet żołądek. Wszyscy milczkowie cierpią na niestrawność. — Rzecz widoczna, iż nierad jestem niedocenianiu grubijaństwa, jest to zgoła najbardziej ludzka forma przeczenia i wśród nowoczesnego przeczulenia jedna z naczelnych cnót naszych. — Jeśli się na to dość jest bogatym, to nawet szczęściem jest doznawać niesprawiedliwości. Gdyby bóg jaki zstąpił na ziemię, mógłby nic innego nie czynić, prócz niesprawiedliwości, — nie karę, lecz winę wziąć na siebie, byłoby dopiero rzeczą boską.

6.

Wolność od *ressentiment*, wyjaśnienie *ressentiment* — kto wie, jak bardzo w końcu także te rzeczy zawdzięczam swej długiej chorobie! Problemat

nie jest najprostszy: trzeba go było przeżyć z głębi siły i z głębi słabości. Jeśli coś wogóle o chorobie, o słabości stwierdzić można, to że w nich właściwy instynkt leczniczy, instynkt zbrojny i obronny człowieka wiotczeje. Nie można się niczego pozbyć, nie można się z niczem załatwić, nie można niczego odepchnąć, — wszystko rani. Człowiek i rzecz przybliżają się natrętnie, zdarzenia godzą zbyt głęboko, wspomnienie jest raną ropiejącą. Chorzenie jest rodzajem samego *ressentiment*. — Przeciw temu ma chory jeden wielki lek, — zwę go fatalizmem rosyjskim, owym fatalizmem bez buntu, z którym żołnierz rosyjski, kiedy mu wyprawa wojenna zbyt we znaki się daje, na śniegu wreszcie się kładzie. Niczego więcej nie przyjmować, nie podejmować się, nie brać w siebie — już wogóle nie oddziaływać... Wielkim rozumem tego fatalizmu, który nie zawsze jest tylko odwagą śmierci, bo podtrzymuje życie wśród najniebezpieczniejszych dla życia warunków, jest zmniejszenie przemiany materyi, jej zwolnienie, rodzaj woli snu zimowego. O kilka kroków dalej w tej logice i mamy fakira, który tygodniami śpi w grobie... Ponieważby się za szybko zużyto, gdyby wogóle oddziaływano, nie oddziaływa się już zgoła: oto logika. A nic nie spala tak prędko, jak uczucia *ressentiment*. Złość, chorobliwa drażliwość, niemoc zemsty, rozkosz, pragnienie zemsty, mieszanie trucizn w każdem znaczeniu — to dla wyczerpanych z pewnością najszkodliwszy sposób oddziaływania: wynika stąd szybkie zużycie siły nerwowej, chorobliwe wzmożenie szkodliwych wylewów, naprzykład żółci do żołądka. *Ressentiment* jest dla chorego rzeczą zabronioną w swej istocie — jego złem: niestety także jego najnatural-

niejszą skłonnością. — Pojął to ów głęboki fizyolog Budda. Jego »religia«, którąby słuszniej hygieną jego nazwać można, by jej nie mieszać z rzeczami tak politowania godnemi, jak chrześcijaństwo, uzależniła swą skuteczność od zwycięstwa nad *ressentiment:* uwolnić oden duszę — pierwszy krok do ozdrowienia. »Nieprzyjaźni nieprzyjaźń kresu nie położy, przyjaźń kres nieprzyjaźni położy«: to rozpoczyna naukę Buddy — tak mówi nie moralność, — tak mówi fizyologia. — *Ressentiment*, urodzone z słabości, dla nikogo nie jest szkodliwsze, jak dla chorego samego, — w innym wypadku, jeśli chodzi o naturę bogatą, jest uczuciem zbytecznem, uczuciem, nad którem panować jest nieledwo dowodem bogactwa. Kto zna powagę, z jaką filozofia moja podjęła walkę z uczuciami zemsty i urazy aż w głąb nauki o »wolnej woli« — walka z chrześcijaństwem jest w tem jeno poszczególnym wypadkiem —, ten zrozumie dlaczego osobiste zachowanie się swoje, swoją pewność instynktu w praktyce tu właśnie na jaw wywodzę. W czasach *décadence* zabraniałem ich sobie, jako szkodliwych; skoro życie znów było dość na to bogate i dumne, zabraniałem ich sobie jako czegoś pod sobą. Ów »fatalizm rosyjski«, o którym mówiłem występował tak u mnie, że przez lata całe zachowywałem trwale położenia, miejscowości, mieszkania, towarzystwa, skoro mi raz je przypadek nadarzył, — było to lepiej, niż zmieniać je, czuć je zmiennemi — niż przeciw nim powstawać. W tym fataliźmie niepokoić siebie, budzić się gwałtownie było mi wówczas śmiertelnie niemiło: co prawda było też każdym razem śmiertelnie niebezpiecznie. Uważać siebie sa-

mego za fatum, nie chcieć być »innym« — to w takich warunkach wielki rozum istotny.

7.

Inna rzecz wojna. Jestem z natury wojowniczy. Atakowanie właściwe jest moim instynktom. Móc być nieprzyjacielem, być nieprzyjacielem — to wymaga może silnej natury, w każdym razie wynika z każdej silnej natury. Potrzebuje ona oporu, przeto szuka oporu: patos zaczepne z tą samą koniecznością jest właściwe sile, jak uczucie zemsty i urazy słabości. Kobieta naprzykład jest mściwa: to wynika z jej słabości podobnie, jak jej wrażliwość na cudzą niedolę. — Siła atakującego ma pewnego rodzaju miarę w przeciwnictwie, którego mu trzeba; każde wzrastanie ujawnia się wyszukiwaniem mocniejszego przeciwnika — lub problematu: bo filozof, który jest wojowniczy, wyzywa też problematy do walki. Nie w tem zadanie, by wogóle stać się panem oporów, lecz takich oporów, gdzie w grę wciągnąć potrzeba całą swą siłę, sprawność i mistrzostwo w władaniu bronią — panem równych przeciwników... Równość wobec wroga — pierwsze założenie uczciwego pojedynku. Gdzie się pogardza, tam wojny prowadzić nie można; gdzie się rozkazuje, gdzie się coś czuje pod sobą, nie trzeba wojny prowadzić. — Moja praktyka wojenna da w cztery ująć się zdania. Po pierwsze: zaczepiam tylko rzeczy zwycięskie. Po drugie: zaczepiam tylko rzeczy, w których nie znajduję przymierzeńców, gdzie stoję sam, —

gdzie sam się tylko kompromituję... Nie uczyniłem nigdy publicznie kroku, któryby nie kompromitował: to jest dla mnie kryteryum słusznego działania. Po trzecie: nie atakuję nigdy osób — posługuję się osobą tylko jako silnem szkłem powiększającem, mocą którego jakąś powszechną, lecz skradającą się, lecz niedość uchwytną nędzę uwidocznić można. Tak zaczepiłem Dawida Straussa, raczej powodzenie starczo słabej książki wśród »wykształconych« niemieckich — pochwyciłem tych »wykształconych« na gorącym uczynku... Tak zaczepiłem Wagnera, dokładniej fałsz, półlichotę w instynktach naszej »kultury«, która miesza rafinowanych z bogatymi, spóźnionych z wielkimi. Po czwarte: zaczepiam tylko rzeczy, w których wszelka niesnaska osób jest wykluczona, których tłem nie jest żadne złe doświadczenie. Przeciwnie, zaczepka jest u mnie dowodem życzliwości, w pewnych razach wdzięczności. Czczę, wyróżniam tem, że łączę swe imię z imieniem pewnej rzeczy, pewnej osoby: za lub przeciw — to mi wszystko jedno. Jeśli wytaczam chrześcijaństwu wojnę, to przystoi mi to, bo nie doznałem z tej strony żadnych fatalności, ni hamulców — najpoważniejsi chrześcijanie byli mi zawsze życzliwi. Ja sam, przeciwnik *de rigueur* chrześcijaństwa, daleki jestem, by jednostkom wymawiać, co jest fatalnością tysiącoleci. —

8.

Mogęż się ważyć na zaznaczenie ostatniego jeszcze natury swej rysu, który niemałą w obcowa-

niu z ludźmi sprawia mi trudność? Właściwa mi jest zgoła niesamowita wrażliwość instynktu schludności, tak że blizkość — co mówię? — najgłębsze wnętrze, »jelita« każdej duszy fizyologicznie odczuwam — węszę... Ta wrażliwość moja posiada macki psychologiczne, któremi każdej tajemnicy dotykam, w palce ją ujmuję: wiele ukrytego brudu na dnie pewnych natur, wynikającego może z krwi zepsutej, lecz pobielonego przez wychowanie, uświadamia mi się już prawie za pierwszem dotknięciem. Jeśli dobrze zauważyłem, to takie dla schludności mej nieznośne natury odczuwają też ze swej strony przezorność mego wstrętu: nie stają się przez to wonniejsze... Tak się już przyzwyczaiłem — krańcowa czystość względem siebie jest założeniem mego istnienia, ginę w nieczystych warunkach —, że pływam, kąpię się i pluszczę niejako ustawicznie w wodzie, w jakimkolwiek doskonale przeźroczym i lśniącym żywiole. To czyni mi z obcowania z ludźmi niemałą próbę cierpliwości; ludzkość moja nie polega na tem, że współczuję, jaki jest człowiek, lecz na tem, że wytrzymuję, iż z nim współczuję... Ludzkość moja jest ustawicznem przezwyciężaniem siebie. — Lecz potrzebuję samotności, to znaczy ozdrowienia, powrotu ku sobie, tchnienia wolnego, lekkiego, igrającego powietrza... Cały mój Zaratustra jest dytyrambem na cześć samotności, lub jeśli mnie zrozumiano, na cześć schludności... Na szczęście nie na cześć czystego błazeństwa... — Kto zmysł ma do barw, nazwie go dyamentowym. — Wstręt do ludzi, do »motłochu« był zawsze największem mem niebezpieczeństwem... Chcecież słyszeć słowa, w których Zaratustra prawi o wyzwoleniu od wstrętu?

»Cóż jednak ze mną się stało? Jakżem się wyzwolił od wstrętu? Kto odmłodził me oko? Jakżem się wzbił w wyżynę, kędy już motłoch nie siedzi u studni?

Stworzyłże mi mój wstręt sam skrzydła i siły, co przeczuły źródła? Zaprawdę, w wyż najwyższą musiałem się wzbić, by odnaleźć krynicę rozkoszy! —

Och, znalazłem ją, bracia moi! Tu na wyży najwyższej krynica mi bije rozkoszy! I jest tu życie, z którego motłoch nie pija pospołu!

Prawie za mocno mi tryskasz, źródło rozkoszy! I często puhar znów opróżniasz przeto, że go napełnić chcesz.

I jeszcze nauczyć się muszę skromniej przybliżać do ciebie. Zbyt mocno jeszcze ku tobie bije me serce:

— serce me, w którem moje lato płonie, krótkie, gorące, smętne, przeszczęśliwe: jakże pożąda lato mego serca twojego chłodu!

Minęło ociągliwe strapienie mej wiosny! Minęły płaty śniegu mego gniewu w czerwcu! Latem stałem się cały i letniem popołudniem,

— latem na wyży najwyższej o zimnych źródłach i szczęśliwej ciszy: och, przyjdźcie, moje druhy, by cisza jeszcze szczęśliwsza się stała!

Bo n a s z a to wyżyna i nasza ojczyzna: wysoko zbyt i stromo zbyt tutaj mieszkamy wszystkim nieczystym i pragnieniu ich. Rzućcie jeno czystemi oczami w krynicę mojej rozkoszy, o druhy! Jakżeby przeto zmętnieć miała? Niech wam się s w o j ą czystością odśmiechnie.

Na drzewie przyszłości zbudujem gniazdo sobie: orły samotnym nam będą strawę przynosić w dzióbach!

Zaprawdę, to nie strawa, którąby mogli nieczyści pożywać pospołu! Zdać im się będzie, że żrą ogień i pyski sobie palą.

Zaprawdę, żadnych kryjówek dla nieczystych tu chować nie będziem! Jaskinią lodową zdałoby się nasze szczęście ich ciałom i duchom!

I jako wichry potężne będziemy żyć ponad nimi, sąsiady orłom, sąsiady śniegom, sąsiady słońcu: tak żyją wichry potężne.

I niby wicher zadmę kiedyś jeszcze pomiędzy nich i duchem swym zaprę ich duchowi dech: tak chce ma przyszłość.

Zaprawdę, wichrem potężnym jest Zaratustra wszem nizinom i taką radę daje swym druhom i wszemu, co ślini i plwa: strzeżcie się plwać pod wiatr!...

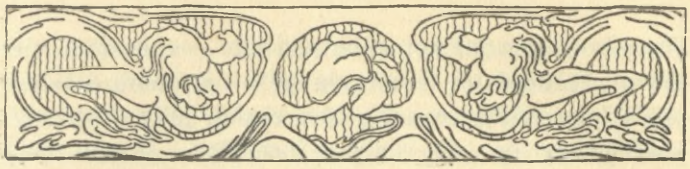

DLACZEGO JESTEM TAK ŚWIATŁY? Dlaczego wiem niejedno więcej? Czemu wogóle tak jestem światły? Nie rozmyślałem nigdy o zagadnieniach, które zagadnieniami nie są, — nie roztrwaniałem się. — Właściwych wątpliwości religijnych naprzykład nie znam z doświadczenia. Uszło zgoła mej uwagi, jakbym dalece powinien być »grzesznym«. Podobnież brak mi dostępnego kryteryum, co to jest wyrzut sumienia: sądząc z tego, co słyszy się o tem, zda mi się wyrzut sumienia czemś niewartem uwagi... Nie wypierałbym się jakiegoś czynu, gdy już klamka zapadła, wolałbym zły wynik, skutki, zasadniczo wyrzucić z zagadnienia wartości. Wobec złego wyniku traci się zbyt łatwo właściwy pogląd na to, co się uczyniło: wyrzut sumienia zda mi się pewnego rodzaju »złem okiem«. Coś, co chybiło, tem bardziej w czci chować swojej, ponieważ chybiło — to raczej już właściwe mojej moralności. — »Bóg«, »nieśmiertelność duszy«, »zbawienie«, »zaświat«, wszystko to pojęcia, którym zgoła uwagi ni czasu

nie użyczałem nawet jako dziecko, — możem nie był nigdy dość na to dziecinny? — nie znam ateizmu zgoła jako walki ze sobą, tem mniej, jako przełomu: rozumie się on we mnie z instynktu. Jestem zbyt ciekawy, zbyt uprawniony do pytania, zbyt zuchwały, bym miał ścierpieć prostacką odpowiedź pięścią. Bóg jest prostacką odpowiedzią pięścią, niedelikatnością względem nas myślicieli — w gruncie nawet tylko prostackim zakazem pięścią: nie wolno wam myśleć!... Zgoła inaczej zajmuje mnie zagadnienie, od którego bardziej »zbawienie ludzkości« zależy, niż od którejkolwiek osobliwości teologicznej: zagadnienie odżywiania. Można je sobie, do podręcznego użytku, tak sformułować: »jak właśnie ty masz się odżywiać, by osiągnąć swe *maximum* siły, *virtù* w stylu Odrodzenia, cnoty wolnej od moralizny?« — Doświadczyłem w tym względzie możliwie najgorszego: jestem zdumiony, żem o zagadnieniu tem usłyszał tak późno, żem z doświadczeń tych tak późno nauczył się »rozumu«. Tylko zupełna bezwartościowość niemieckiego wykształcenia — jego »idealizm« — tłumaczy mi poniekąd, dlaczego w tej właśnie sprawie byłem zacofany aż do świętości. To wykształcenie, które z góry uczy tracić z oczu sprawy rzeczywiste, by gonić nawskroś problematyczne, tak zwane cele idealne, naprzykład »wykształcenie klasyczne«: — jak gdyby łączenie »klasyczności« i »niemieckości« w jedno pojęcie nie było rzeczą z góry potępioną! Co więcej, działa to rozweselająco — wyobraźcie sobie tylko »klasycznie wykształconego« pana z Lipska! — W rzeczy samej, jadałem do najdojrzalszych swych lat zawsze tylko źle, — wyrażając się moralnie »bezosobiście«, »niesamolubnie«,

»altruistycznie«, dla zbawienia kucharzy i innych współchrześcijan. Zaprzeczałem naprzykład przez kuchnię lipską, równocześnie z swem pierwszem studyum Schopenhauera (1865), bardzo poważnie swej »woli życia«. Dla niedostatecznego odżywiania się psuć sobie jeszcze żołądek — ten problemat, jak mi się zdało, rozwiązała wymieniona kuchnia zadziwiająco szczęśliwie. (Powiadają, że r. 1866 zwrot w tem wywołał —.) Lecz kuchnia niemiecka wogóle — czegóż ona nie ma na sumieniu! Zupa przed jedzeniem (jeszcze w weneckich księgach kucharskich z 16. stulecia *alla tedesca* zwana); wygotowane mięsiwa, tłusto i mącznie przyrządzone jarzyny; zwyrodnienie leguminy w przycisk na listy! Jeśli się wliczy w to jeszcze poprostu bydlęce potrzeby zalewania jedzenia u starych, zgoła nietylko starych Niemców, to zrozumie się też pochodzenie ducha niemieckiego — z zasmuconych jelit... Duch niemiecki to niestrawność, nie może się z niczem załatwić.— Lecz także dyeta angielska, która w porównaniu z niemiecką, nawet francuską, jest rodzajem »powrotu do natury«, to jest do kanibalizmu, jest do głębi odrażająca dla mego instynktu, zda mi się, że przyprawia duchowi ciężkie stopy — stopy Angielek... Najlepsza kuchnia to kuchnia piemoncka. — Napoje wyskokowe szkodzą mi; szklanka wina lub piwa na dzień wystarcza, by uczynić mi z życia »padół płaczu«, — w Monachium mieszkają moje antypody. Choć pojąłem to nieco późno, to przeżywałem właściwie od dzieciństwa. Jako chłopak mniemałem, że picie wina, jak palenie tytoniu, to zrazu jeno *vanitas* młodzieńców, później nałóg. Być może, że temu cierpkiemu wyrokowi winno też wino naumbur-

skie. By wierzyć, że wino rozwesela, na to musiałbym być chrześcijaninem, to znaczy wierzyć w to, co dla mnie właśnie jest niedorzecznością. Dość dziwne, że przy tej nadzwyczajnej wrażliwości na drobne, mocno rozcieńczone dawki wyskoku, staję się niemal marynarzem, gdy chodzi o dawki silne. Już jako chłopiec byłem na tym punkcie waleczny. Długą rozprawę łacińską w jedną noc bezsenną napisać i jeszcze przepisać, z ambicyą w piórze, by dorównać swemu wzorowi Salustyuszowi w prostocie i zwięzłości i niejednym grogiem najcięższego kalibru polać swą łacinę, to już wówczas, gdym był uczniem czcigodnej Schulpforty, nie sprzeczało się zgoła z moją fizyologią, ani też może z salustyuszową — aczkolwiek zawsze z czcigodną Schulpfortą... Później, mniej więcej w połowie żywota, stawałem się oczywiście coraz surowszym przeciwnikiem wszelkich gorących napojów: ja, przeciwnik jarstwa z doświadczenia, zupełnie jak Ryszard Wagner, który mnie nawrócił, nie umiem dość poważnie doradzać bezwzględnej wstrzemięźliwości od trunków wyskokowych wszystkim bardziej duchowym naturom. Woda to czyni... Wybieram miejscowości, gdzie ma się wszędzie sposobność czerpania z ciekących studni (Nizza, Turyn, Sils); szklanka bieży za mną niby pies. *In vino veritas;* zda mi się, że i tu znowu nie godzę się z całym światem co do pojęcia »prawdy«: — u mnie duch unosi się nad wodami... Kilka wskazówek jeszcze z mej moralności. Obfity posiłek łatwiej strawić, niż zbyt skąpy. Aby żołądek jako całość działał, to pierwszy warunek dobrego trawienia. Trzeba wielkość żołądka swego znać. Z tego samego powodu odradzać należy tych przewlekłych posiłków, które nazywam sty-

pami z przerwami, owych przy *table d'hôte*. — Żadnych posiłków w przerwach, żadnej kawy: kawa zasępia. Herbata tylko rano z korzyścią. Mało, lecz mocnej: herbata bardzo szkodzi i całodniowe sprowadza niedomaganie, gdy jest choć o stopień za słaba. Każdy tu ma swą miarę, często w najciaśniejszych i najdelikatniejszych granicach. W bardzo drażniącym klimacie nie radzi się na początek herbaty: godzinę przed tem należy rozpocząć filiżanką gęstego, odtłuszczonego kakao. — Jak najmniej siedzieć; nie wierzyć żadnej myśli, która się nie urodziła na wolnem powietrzu i przy swobodnym ruchu, — jeśli i mięśnie przy tem święcie nie uczestniczą. Wszystkie przesądy pochodzą z kiszek. — Cierpliwość pośladków — rzekłem to już raz — to właściwy grzech przeciw duchowi świętemu. —

2.

Zagadnieniu odżywiania się najbardziej pokrewnem jest zagadnienie miejsca i klimatu. Nie każdemu wolno mieszkać wszędzie; a kto ma wielkie rozwiązać zadania, które wszystkich jego wymagają sił, ma nawet w tym względzie wybór bardzo ciasny. Wpływ klimatyczny na przemianę materyi, jej hamowanie i przyśpieszanie sięga tak daleko, że chybienie miejsca i klimatu może kogoś nietylko od jego odstręczyć zadania, lecz go wogóle zadania pozbawić: nie dojrzy on go nigdy. Zwierzęcy *vigor* nie wzmoże się w nim nigdy na tyle, by osiągnąć ową w najwyższą duchowość przelewającą się wol-

ność, kiedy dochodzi się do poznania: to mogę ja jedynie... W nałóg zmieniona, choćby najmniejsza gnuśność wnętrzności wystarcza zupełnie, by z geniuszu coś średniego, coś »niemieckiego« uczynić; już sam klimat niemiecki wystarcza, by silne i heroicznie uposażone wnętrzności zniechęcić. *Tempo* przemiany materyi stoi w stosunku prostym do ruchliwości lub bezwładności nóg duchowych: sam »duch« jest przecie tylko rodzajem tej przemiany materyi. Zestawcie miejsca, gdzie są i byli ludzie genialni, gdzie dowcip, *raffinement*, złościwość zaliczano do szczęścia, gdzie geniusz zadomowił się prawie siłą konieczności: wszystkie mają wybornie suche powietrze. Paryż, Prowancya, Florencya, Jerozolima, Ateny — nazwy te dowodzą czegoś: geniuszu warunkiem jest powietrze suche, niebo czyste, to znaczy szybka przemiana materyi, możliwość ustawicznego wchłaniania wielkiej, nawet olbrzymiej ilości siły. Mam pewien przed oczyma przykład, że obficie i swobodnie uposażony duch jedynie skutkiem braku czułego instynktu w sprawach klimatu stał się ciasnym, mysią jamą, specyalistą i tetrykiem. I ja sam w końcu stać się tem mogłem, gdyby choroba nie była mnie zmusiła do rozumu, do rozmyślania o rozumie w rzeczywistości. Teraz, gdy działania klimatycznej i metereologicznej natury odczytuję z długiego doświadczenia na sobie, jako na istrumencie bardzo czułym i niezawodnym i już w krótkiej podróży, tylko z Turynu do Medyolanu, zmianę w stopniach wilgotności powietrza fizyologicznie na sobie obliczam, ze strachem myślę o tym niesamowitym fakcie, że życie moje, aż do ostatnich 10 lat, niebezpiecznych dla życia lat, rozgrywało się zawsze tylko w miejsco-

wościach fałszywych i mnie poprostu wzbronionych. Naumburg, Schulpforta, Turyngia wogóle, Lipsk, Bazylea, Wenecya — tyleż miejsc nieszczęśliwych dla mej fizyologii. Jeśli wogóle z całego swego dzieciństwa i młodości żadnego przyjemnego nie mam wspomnienia, byłoby głupotą przypisywać to tak zwanym przyczynom »moralnym« — może niezaprzeczonemu brakowi wystarczającego towarzystwa: gdyż brak ten istnieje dziś, jak istniał zawsze, nie przeszkadzając mi być pogodnym i dzielnym. Jeno nieświadomość *in physiologicis* — przeklęty »idealizm« — jest właściwą fatalnością w mem życiu, rzeczą w niem zbędną i głupią, czemś, z czego nic dobrego nie wzrosło, co nie ma wyrównania, pokrycia w rachunku. Skutkami tego »idealizmu« wyjaśniam sobie wszystkie omyłki, wszystkie wielkie zbłąkania instynktu i »skromności« mijające się z zadaniem mego życia, naprzykład, że zostałem filologiem — czemuż przynajmniej nie lekarzem lub czemśkolwiek, co oczy otwiera? Za czasów mych bazylejskich była cała moja dyeta duchowa, wraz z podziałem dnia, zgoła bezmyślnem trwonieniem sił niezwykłych, bez jakiegokolwiek, pokrywającego zużycie dowozu sił, nawet bez zastanowienia nad zużyciem i nagrodzeniem straty. Brakło wszelkiej subtelniejszej samości, wszelkiej pieczy rozkazodawczego instynktu, było to stawianie się na równi z byle kim, »bezosobistość«, zapomnienie o swej odległości, — coś, czego sobie nigdy nie wybaczę. Gdym prawie był u kresu, przeto, że m prawie był u kresu, zadumałem się nad tym zasadniczym nierozumem swego życia — nad »idealizmem«. Choroba nauczyła mnie rozumu. —

3.

Wybór pożywienia; wybór klimatu i miejsca; — rzecz trzecia, której za żadną cenę chybić nie wolno, to wybór swego rodzaju wypoczynku. I tutaj są granice tego, co dozwolone, to jest pożyteczne, ciasne i ciaśniejsze, stosownie do tego, w jakim stopniu duch jest *sui generis*. Co do mnie, to wszelkie czytanie zaliczam do swoich wypoczynków: przeto do tego, co mnie uwalnia od siebie, co mi pozwala przechadzać się po obcych umiejętnościach i duszach, — czego ja już poważnie nie biorę. Czytanie pozwala mi właśnie odpocząć po mojej powadze. W głęboko pracowitych czasach nie widać u mnie żadnej książki: nigdybym nie pozwolił komuś w pobliżu swem mówić, cóż dopiero myśleć. A temby było przecie czytanie... Czyście zauważyli właściwie, że w owem głębokiem napięciu, na które ciąża skazuje ducha, a w gruncie cały organizm, przypadek, każdy rodzaj podniety z zewnątrz zbyt działa gwałtownie, zbyt głęboko »godzi«? Trzeba przypadkowi, podniecie z zewnątrz o ile możności schodzić z drogi; pewien rodzaj zamurowania się wchodzi w zakres naczelnych mądrości instynktowych ciąży duchowej. Miałżebym pozwolić, by mi myśl obca skrycie przez mur przełaziła? — A temby było przecie czytanie... Po czasach pracy i płodności następuje czas wypoczynku: bywajcie mi, wy miłe, pomysłowe, mądre książki! — Będąż to książki niemieckie?... Muszę pół roku wstecz sięgnąć, by przyłapać siebie z książką w ręku. Cóż to jednak było? — Wyborne studyum Wiktora Brocharda, *Les Sceptiques Grecs*, w którem

i moje *Laertiana* zużytkowano umiejętnie. Sceptycy, jedyny szacunku godny typ wśród tego tak dwu-, ba, pięcioznacznego tłumu filozofów!... Zresztą uciekam się prawie zawsze do tych samych książek, do małej w gruncie liczby, do książek właśnie dla mnie dowiedzionych. Nie leży może w mej naturze czytać wiele i rozmaite rzeczy: czytelnia przyprawia mnie o chorobę. Nie leży też w mojej naturze kochać wiele i rozmaite rzeczy. Już raczej przezorność, nawet wrogość względem nowych książek właściwa jest memu instynktowi, niż »tolerancya«, »*largeur du coeur*« i inna »miłość bliźniego«... Do małej to liczby dawniejszych Francuzów powracam wciąż na nowo: wierzę tylko w wykształcenie francuskie i uważam wszystko, co poza tem w Europie zwie się »wykształceniem«, za nieporozumienie, nie mówiąc o wykształceniu niemieckiem... Nieliczne przykłady wyższego wykształcenia, które w Niemczech znalazłem, były wszystkie pochodzenia francuskiego, przedewszystkiem pani Cosima Wagner, zgoła najpierwsza, jaką znałem, powaga w rzeczach smaku. — Że Pascala nie czytuję, lecz kocham, jako najbardziej pouczającą ofiarę chrześcijaństwa, powolnie zamordowaną, wprzód na ciele, potem na duchu, jako całą logikę tej najstraszliwszej formy nieludzkiego okrucieństwa; że mam coś z pogody Montaigne'a w duchu, kto wie? może i w ciele; że mój smak artystyczny bierze nazwiska Molière'a, Corneille'a i Racine'a w obronę nie bez zawziętej złości na rozkiełznany geniusz Szekspira: to nie wyklucza w końcu, by i najnowsi Francuzi nie mieli być dla mnie miłem towarzystwem. Nie widzę zgoła, w jakiem stuleciu dziejów możnaby naraz wyłowić

tak ciekawych i równocześnie subtelnych psychologów, jak w teraźniejszym Paryżu: wyliczam na próbę — bo liczba ich wcale niemała — panów Pawła Bourget, Piotra Loti, Gypa, Meilhac'a, Anatola France, Juliusza Lemaître, lub by wymienić jednego z silnej rasy, prawdziwy typ łaciński, któremu szczególnie jestem przychylny, Guy de Maupassanta. Przenoszę to pokolenie, między nami mówiąc, nawet nad jego wielkich nauczycieli, których społem zepsuła filozofia niemiecka (pana Taine'a naprzykład Hegel, któremu ów zawdzięcza niezrozumienie wielkich ludzi i czasów). Dokąd sięgają Niemcy, psują kulturę. Dopiero wojna »zbawiła« ducha we Francyi... Stendhal, jeden z najpiękniejszych przypadków mego życia — gdyż wszystko, co w niem epokę stanowi, zdarzył mi przypadek, nigdy rekomendacya — jest zgoła nieoceniony dla swych dalekowidzących oczu psychologa, dla swego pazura realizmu, przypominającego największe wcielenie rzeczowości *(ex ungue Napoleonem —);* nie ubliżając w końcu bynajmniej jako rzetelnemu ateuszowi — rzadkiej i trudnej do znalezienia we Francyi *species* — Prosperowi Mérimée... Może nawet Stendhalowi zazdroszczę? Zabrał mi najlepszy dowcip ateuszowski, który właśnie ja powiedzieć mogłem: »jedynem usprawiedliwieniem Boga jest to, że nie istnieje«... Ja sam gdzieś rzekłem: co było dotąd największym przeciw istnieniu zarzutem? Bóg...

4.

Najwyższe pojęcie o liryku dał mi Henryk Heine. Napróżno przez wszystkie wieki szukam muzyki równie słodkiej i namiętnej. Posiadał on ową boską złośliwość, bez której nie mogę sobie wyobrazić doskonałości — wartość ludzi, ras oceniam wedle tego, w jakim stopniu koniecznem jest dla nich pojmować Boga nieodłącznie od satyra. A jak on włada językiem niemieckim! Powiedzą kiedyś, że Heine i ja byliśmy zgoła pierwszymi mistrzami języka niemieckiego — niewymiernie odlegli od wszystkiego, co czyści Niemcy z niego uczynili. — Z Byrona Manfredem spokrewniony być muszę głęboko: wszystkie te przepaści znalazłem w sobie, — licząc lat trzynaście byłem do tego dzieła dojrzały. Nie mam wcale słowa, jeno spojrzenie dla tych, którzy w obecności Manfreda ważą się wyrzec słowo Faust. Niemcy nie są zdolni do żadnego pojęcia wielkości: dowodem Schumann. Z umysłu, w złości na tego słodkawego Sasa, skomponowałem przeciwstawienie do uwertury do Manfreda, o której Hans von Bülow rzekł, że podobnej rzeczy nigdy na papierze nutowym nie widział: że to gwałt na Euterpie. — Kiedy szukam swej najwyższej formuły dla Szekspira, znajduję zawsze tę tylko, że ujął typ Cezara. Czegoś podobnego nie odgaduje się, — jest się tem, lub się tem nie jest. Wielki poeta czerpie tylko z swojej rzeczywistości — aż do tego stopnia, że po stworzeniu dzieła swego nie wytrzymuje... Rzuciwszy okiem w swego Zaratustrę, chodzę pół godziny po pokoju tam i z powrotem, niezdolny opanować nieznośnego kurczowego

łkania. — Nie znam bardziej rozdzierającej serce lektury nad Szekspira: czegóż cierpieć nie musiał ten człowiek, by czuć aż do tego stopnia potrzebę być błaznem! — Rozumiecież Hamleta? Nie wątpienie, lecz pewność doprowadza do szaleństwa... Lecz trzeba być głębokim, bezdnią, filozofem, by tak czuć... Wszyscy boimy się prawdy... I przyznam się: jestem instynktownie pewny i nie wątpię, że lord Bacon jest sprawcą i samodręczycielskiem zwierzęciem tego najniesamowitszego rodzaju literatury: cóż mnie obchodzi politowania godna gadanina mętnych i płytkich głów amerykańskich? Jednak zdolność do najpotężniejszej oczywistości wizyi nietylko godzi się z najpotężniejszą zdolnością do czynu, do potworności czynu, do zbrodni — lecz nawet jest jej założeniem... Zgoła nie wiemy dosyć o lordzie Baconie, pierwszym realiście w każdem wielkiem tego słowa znaczeniu, by wiedzieć, ile to zrobił, czego chciał, co przeżył ze sobą... A do dyabła, moi panowie krytycy! Przypuszczając, że ochrzciłbym swego Zaratustrę obcem nazwiskiem, naprzykład Ryszarda Wagnera, to przenikliwości dwuch tysięcy lat nie starczyłoby, by odgadnąć, że ten, kto napisał »Ludzkie, arcyludzkie« jest wizyonerem Zaratustry...

5.

W miejscu tem, gdzie o wypoczynkach mówię swego życia, muszę rzec słowo jeszcze, by wyrazić swą wdzięczność temu, co mi w niem zgoła naj-

głębszy i najserdeczniejszy wywczas dawało. Był to, bez wszelkiej wątpliwości, bliższy stosunek z Ryszardem Wagnerem. Darowuję resztę swych ludzkich stosunków; za żadną cenę nie wykreśliłbym z życia swego dni w Tribschen, dni zaufania, pogody, górnych przypadków — g ł ę b o k i c h chwil. Nie wiem, co inni z Wagnerem przeżyli: po n a s z e m niebie żadna nie przemknęła chmura... I przy tej sposobności wracam raz jeszcze do Francyi, — nie mam żadnych wyjaśnień, jeno pogardliwe skrzywienie ust dla wagnerzystów *et hoc genus omne*, którzy mniemają, że Wagnera czczą, uznając go podobnym do s i e b i e... Dla mnie, com jest, jaki jestem, wszystkiemu, co niemieckie, tak obcy z najgłębszych instynktów, że już blizkość Niemca przewleka mi trawienie, było pierwsze zetknięcie z Wagnerem także pierwszem w mem życiu zaczerpnięciem powietrza: odczuwałem, czciłem go jako z a g r a n i c ę, jako przeciwieństwo, jako ucieleśniony protest przeciw wszystkim »cnotom niemieckim«. — My, którzyśmy w bagnistem powietrzu szóstego lat dziesiątka dziećmi byli, jesteśmy z konieczności pesymistami względem pojęcia »niemieckość«; nie możemy być niczem innem, jak rewolucyonistami, — nie uznamy żadnego stanu rzeczy, gdzie m r u k jest górą. Jest mi zgoła obojętne, czy dziś innemi barwami się mieni, czy ubiera się w szkarłat i przywdziewa uniform huzarski... Otóż to! Wagner był rewolucyonistą — uciekł przed Niemcami... A r t y s t a nie ma w Europie ojczyzny poza Paryżem; *la délicatesse* wszystkich pięciu zmysłów sztuki, której sztuka Wagnera wymaga, palce dla *nuances*, psychologiczne przewrażliwienie, znajdzie się tylko w Paryżu. Nigdzie zresztą niema

takiej namiętności w zagadnieniach formy, tej powagi w *mise en scène* — jest to powaga paryska *par excellence*. W Niemczech nie ma się zgoła pojęcia o niesłychanej ambicyi, żyjącej w duszy paryskiego artysty. Niemiec jest dobroduszny — Wagner nie był zgoła dobroduszny... Lecz zadość już powiedziałem (w »Poza dobrem i złem« str. 260 i nast.), gdzie zaliczać Wagnera, w kim ma swych krewnych najbliższych: to późna romantyka francuska, ów górnolotny i wzwyż porywający rodzaj artystów jak Delacroix, jak Berlioz, gdzie dnem choroba, nieuleczalność w istocie, wszystko fanatycy w y r a z u, wirtuozowie nawskroś... Kto był pierwszym i n t e l i g e n t n y m zwolennikiem Wagnera wogóle? Karol Baudelaire, ten sam, który pierwszy zrozumiał Delacroix, ów typowy *dècadent*, w którym całe pokolenie artystów poznało się znowu — on był też może ostatnim... Czego nie wybaczyłem Wagnerowi nigdy? Że s t a ł s i ę p o w o l n y żądaniom Niemców — że stał się państwowo niemieckim... Dokąd sięgają Niemcy, p s u j ą kulturę. —

6.

Zważywszy wszystko, nie byłbym był wytrzymał swej młodości bez muzyki Wagnera. Bo byłem s k a z a n y na Niemców. Chcąc się uwolnić od nieznośnego ucisku, trzeba haszyszu. Otóż to, potrzebowałem Wagnera. Wagner jest odtrutką przeciw wszelkiej niemieckości *par excellence*, — trutką, nie prze-

czę temu... Od chwili, gdy powstał wyciąg fortepianowy Tristana — powinszować, panie von Bülow! — byłem wagnerzystą. Na dawniejsze dzieła Wagnera patrzałem jako na niższe od siebie — jeszcze zbyt pospolite, zbyt »niemieckie«... Lecz szukam dziś jeszcze dzieła o równie niebezpiecznym uroku, o równie straszliwej i słodkiej nieskończoności, jak Tristan, — szukam we wszystkich sztukach napróżno. Wszystkie przedziwności Lionarda da Vinci tracą czar za pierwszym dźwiękiem Tristana. Dzieło to jest nawskroś wagnerowskiem *non plus ultra;* wypoczął po niem Śpiewakami Norymberskimi i Pierścieniem. Stać się zdrowszym, to cofnięcie się dla natury, jaką jest Wagner... Uważam za szczęście najwyższe, że żyłem wczas i żyłem wśród Niemców, by być dojrzałym do tego dzieła: tak daleko sięga we mnie ciekawość psychologa. Świat jest ubogi dla tego, kto nigdy nie był dość chory dla tej »rozkoszy piekielnej«: wolno, nawet przykazano, zastosować tu formułę mistyków. — Zda mi się, że znam lepiej, niż ktokolwiek, ogrom zdolności Wagnera, pięćdziesiąt światów obcych zachwyceń, dla których nikt prócz niego nie posiadał skrzydeł; i taki jak jestem, dość silny, by i to co najbardziej wątpliwe i niebezpieczne na swoją jeszcze korzyść obrócić i stać się przez to silniejszym, zwę Wagnera wielkim dobroczyńcą w mem życiu. To, w czem pokrewni jesteśmy, żeśmy cierpieli, także gwoli sobie wzajem, głębiej, niż ludzie tego stulecia cierpieć zdolni, będzie wieczyście na nowo nasze łączyło imiona; i podobnie jak Wagner wśród Niemców jest nieporozumieniem tylko, podobnie ja niem jestem i będę niem zawsze. — Najpierw dwa wieki psychologicznej i artystycznej

dyscypliny, moi panowie Germanie!... Lecz tego się nie nadrobi. —

7.

Rzeknę słowo jeszcze dla najwybrańszych uszu: czego właściwie od muzyki żądam. By pogodna była i głęboka, jak popołudnie październikowe. By była dziwna, swawolna, pieściwa — małą, słodką kobietą, pełną nikczemności i wdzięku... Nigdy nie przypuszczę, by Niemiec m ó g ł wiedzieć, co to muzyka. Ci, których niemieckimi zwie się muzykami, z największymi na czele, to c u d z o z i e m c y, Słowianie, Kroaci, Włosi, Niderlandczycy — lub Żydzi; w przeciwnym razie Niemcy starej rasy, Niemcy w y m a r l i, jak Henryk Schütz, Bach i Händel. Ja sam zawsze jeszcze nazbyt jestem Polakiem, by za Chopina nie oddać całej reszty muzyki: czynię z trzech powodów wyjątek dla Wagnera Idylli Zygfrydowej, może dla niektórych rzeczy Liszta, który nad wszystkimi muzykami góruje dostojnymi akcentami orkiestry; w końcu jeszcze wszystko, co wzrosło z tamtej Alp strony — p o m o j e j s t r o n i e... Nie mógłbym się obejść bez Rossiniego, tem mniej bez m e g o południa w muzyce, bez muzyki mego *maëstro* weneckiego, Pietra Gasti. I jeśli mówię z tamtej Alp strony, mówię właściwie tylko o Wenecyi. Jeśli innego szukam dla muzyki słowa, znajduję zawsze tylko słowo Wenecya. Nie umiem czynić różnicy między łzami i muzyką —

nie umiem o szczęściu, o p o ł u d n i u myśleć bez dreszczu zalęku.

Na mościem stał
Onegdaj w ciemną noc.
Z dali płynął śpiew;
Złocistą kroplą ciekł
Po drżącej fal powierzchni w dal.
Gondole, światła, gędźba —
Upojnie w mrok płynęły hen.

Dusza moja, gędźba strun,
Wzruszona tajnie, barkarolę
Przyśpiewywała sobie skrycie,
Drżąc od migotnej szczęśliwości...
— Czy przysłuchiwał się jej kto?

8.

W tem wszystkiem — w wyborze pożywienia, miejsca i klimatu, wypoczynku — włada instynkt samozachowawczy, który wypowiada się najniedwuznaczniej jako instynkt s a m o o b r o n y. Wielu rzeczy nie widzieć, nie słyszeć, nie dopuszczać do siebie — pierwsza mądrość, pierwszy dowód, że nie jest się przypadkiem, lecz koniecznością. Utartem słowem na ten instynkt samoobrony jest s m a k. Imperatyw jego nietylko rozkazuje mówić »nie«, gdzieby »tak« było »bezosobistością«, lecz także mówić m o ż l i w i e n a j r z a d z i e j »n i e«. Oddzielać się, odgraniczać się od tego, gdzieby zawsze i ciągle »nie« mówić trzeba. Ro-

zumne w tem jest to, że wydatki na odpór, choćby jak najmniejsze, stając się regułą, stając się nawykiem, wywołują nadzwyczajne i zgoła zbędne zubożenie. Naszymi wydatkami wielkimi są najczęstsze, drobne. Odpieranie, niedopuszczanie jest wydatkiem — nie łudźcie się co do tego —, dla negatywnych celów trwonioną siłą. Tylko wśród ustawicznej konieczności odporu można stać się dość słabym, by nie móc się już bronić. — Przypuśćmy, że wychodzę z domu i znajduję, miast cichego i arystokratycznego Turynu, miasteczko niemieckie: instynkt mój musiałby się rozeprzeć, by odeprzeć wszystko, czem nań ten spłaszczony i tchórzliwy świat napiera. Lub znalazłbym wielkie miasto niemieckie, ten budowany występek, gdzie nic nie rośnie, dokąd rzecz każdą, dobrą i lichą, zawleczono. Nie musiałżebym przeto stać się kolczatkiem? — Lecz kolce mieć jest marnotrawstwem, podwójnym zbytkiem nawet, gdy się może nie mieć zgoła kolców, jeno ręce otwarte...

Inna mądrość i samoobrona polega na tem, by najmożliwiej rzadko reagować i unikać położeń i warunków, w którychby się było skazanym swoją »wolność«, swoją inicyatywę niejako zawiesić i stać się czystem *reagens*. Uczony, który w gruncie tylko książki »odwala« — filolog o umiarkowanym zapędzie około dwustu dziennie — traci w końcu nawskroś i zupełnie zdolność myślenia na własną rękę. Jeśli nie odwala, nie myśli. Odpowiada na podnietę (— myśl czytaną), skoro myśli, — w końcu reaguje już tylko. Uczony wydaje całą swą siłę na mówienie »tak« i »nie«, na krytykę tego, co już pomyślane — on sam już nie myśli... Instynkt samoobrony skruszał w nim, w przeciwnym razie broniłby

się przeciw książkom. Uczony — to *décadent*. — Widziałem to na własne oczy: zdolne, bogato i swobodnie uposażone natury po trzydziestce już »na śmierć zaczytane«, jeszcze tylko zapałki, które trzeć trzeba, by iskry — »myśli« wydały. — Wczesnym rankiem o brzasku dnia, wśród całej świeżości, o jutrzni swej siły — czytać książkę — to zwę występkiem! —

9.

W tem miejscu ominąć nie mogę właściwej odpowiedzi na pytanie, jak człowiek staje się, czem jest. I oto poruszam arcydzieło sztuki samozachowania — samolubstwo... Przypuszczając bowiem, że jakieś zadanie, powołanie, przeznaczenie zadania znacznie ponad średnią wznosi się miarę, to niema większego niebezpieczeństwa, jak spostrzec siebie samego razem z tem zadaniem. By stać się tem, czem się jest, tego pierwszym warunkiem, by nawet w przybliżeniu nie przeczuwać, czem się jest. Z tego punktu widzenia mają osobliwe swoje znaczenie i wartość nawet omyłki życiowe, chwilowe drogi uboczne i manowce, zwłoki, »skromności«, powaga, trwonione na zadania, poza istotnem zadaniem leżące. Wyraża się w tem wielka mądrość, nawet mądrość największa: gdzie *nosce te ipsum* byłoby przepisem w celu zagłady, zapominanie o sobie, nierozumienie siebie, zmniejszanie, ścieśnianie, sprowadzanie do średniości staje się istotnym rozumem. Wyrażając to językiem moralności: miłość bliźniego, życie dla drugich i tak dalej może być środkiem

ochronnym w celu zachowania najtwardszej samości: to jest wypadek wyjątkowy, w którym wbrew swej regule i przekonaniu, stoję po stronie popędów bezosobistych: pracują tu one w służbie samolubstwa, samohodowli. — Trzeba całą powierzchnię świadomości — świadomość jest powierzchnią — utrzymywać w czystości od wszelkiego wielkiego imperatywu. Strzeżcie się nawet wszelkiego wielkiego słowa, wszelkiej wielkiej postawy! Wszystko to niebezpieczeństwa, że instynkt przedwcześnie »się zrozumie«. — Tymczasem rośnie i rośnie w głębi organizująca, do panowania powołana »idea«, — zaczyna rozkazywać, zawraca zwolna z dróg ubocznych i manowców, przysposabia poszczególne właściwości i dzielności, które okażą się kiedyś, jako środki do całości, niezbędnemi, — kształci kolejno wszystkie służebne władze, zanim da znać cośkolwiek o zadaniu dominującem, o »celu«, »zamiarze«, »sensie«. — Z tej strony rozważane jest życie moje poprostu cudowne. Do zadania Przemiany wartości potrzeba było może więcej zdolności, niż ich kiedykolwiek w jednej osobie obok siebie mieszkało, przedewszystkiem też sprzecznych z sobą zdolności, któreby jednak nie przeszkadzały sobie, nie niszczyły się wzajem. Ustopniowanie zdolności; odległość; sztuka rozdzielania lub kłócenia; nie mieszanie niczego; nie »pojednywanie«; niezmierna wielość, która jest mimo to przeciwieństwem chaosu — oto uprzedni warunek, długa tajemna praca i artyzm mego instynktu. Jego wyższa opieka okazała się do tego stopnia silną, że w żadnym wypadku nie przeczułem nawet, co we mnie rośnie, — że wszystkie moje uzdolnienia wyskoczyły dnia jednego nagle, dojrzałe, w swej osta-

tecznej doskonałości. Brak mi wspomnienia, bym się trudził kiedykolwiek, — żaden rys w y w a l c z a n i a w mojem życiu wykazać się nie da, jestem przeciwieństwem natury heroicznej. Czegoś »chcieć«, do czegoś »dążyć«, jakiś »cel«, jakieś »życzenie« mieć na oku — tego wszystkiego nie znam z doświadczenia. Jeszcze w tej chwili patrzę na swą przyszłość — d a l e k ą przyszłość! — jak na gładkie morze: żadne nie marszczy go pożądanie. Nie pragnę zgoła, by coś innego stało się, jak jest; ja sam nie chcę innym się stać... Lecz tak żyłem zawsze. Nie miałem żadnego życzenia. Ktoś, kto skończywszy lat czterdzieści cztery rzec może, że nie starał się nigdy ani o z a s z c z y t y, ani o k o b i e t y, ani o p i e n i ą d z e! — Nie znaczy to, by mi ich było brakło... Tak naprzykład zostałem dnia pewnego profesorem uniwersytetu — o czemś podobnem nigdy cień myśli we mnie nie postał, bo liczyłem ledwo lat dwadzieścia cztery. Tak dwa lata przedtem zostałem dnia pewnego filologiem: w tem znaczeniu, że mojej pierwszej pracy filologicznej, mego początku w każdem znaczeniu, zażądał nauczyciel mój Ritschl do druku w swem »*Rheinisches Museum*«. (R i t s c h l — mówię to ze czcią — jedyny genialny uczony, którego po dziś dzień widzieć mi się zdarzyło. Właściwe mu było owo przyjemne zepsucie, które cechuje nas z Turyngii i dzięki któremu nawet Niemiec sympatycznym się staje: — by dojść do prawdy, wolimy nawet jeszcze drogi kryjome. Nie chciałbym zgoła przez te słowa niedocenić mego bliższego ziomka, m ą d r e g o Leopolda von Ranke...)

10.

Spytać mnie można, dlaczego właściwie opowiedziałem wszystkie te drobne i wedle przyjętego sądu obojętne rzeczy; szkodzę tem sobie nawet, tem bardziej, jeśli powołany jestem być rzecznikiem wielkich zadań. Odpowiedź: te drobne rzeczy — odżywianie, miejsce, klimat, wypoczynek, cała kazuistyka samolubstwa — są ponad wszelkie pojęcie ważniejsze, niż wszystko, cokolwiek dotąd brano poważnie. Tu właśnie trzeba zacząć uczyć się czego innego. To, co ludzkość dotychczas rozważała poważnie, to nawet nie sprawy rzeczywiste, lecz czyste majaki, surowiej mówiąc, kłamstwa z głębi lichych instynktów chorych, w najgłębszem znaczeniu szkodliwych natur — te wszystkie pojęcia »boga«, »duszy«, »cnoty«, »grzechu«, »zaświata«, »prawdy«, »życia wiecznego«... Jednak szukano w nich wielkości natury człowieczej, jej »boskości«... Wszystkie zagadnienia polityki, porządku społecznego, wychowania są sfałszowane do dna i do gruntu przez to, że ludzi najszkodliwszych brano za ludzi wielkich, — że rzeczami »drobnemi«, to jest zasadniczemi sprawami samego życia uczono gardzić... Jeśli porównam się teraz z ludźmi, których dotąd czczono jako ludzi naczelnych, to różnica jest namacalna. Nie zaliczam tych pono »naczelnych« nawet do ludzi wogóle, — to dla mnie wyrzutki ludzkości, wyrodki choroby i mściwych instynktów: to sami złowieszczy, w gruncie nieuleczalni nieludzie, mszczący się na życiu... Chcę być ich przeciwieństwem: przywilejem moim jest, że posiadam najwyższą wrażliwość na oznaki zdrowych

instynktów. Brak we mnie wszelkiego chorobliwego rysu; nawet czasy ciężkiej choroby nie uczyniły mnie chorowitym; próżnoby szukać w istocie mej rysu fanatyzmu. W żadnej chwili mego życia nie wykażecie mi jakiejś zarozumiałej lub patetycznej pozy. Patos postawy nie jest właściwy wielkości; komu wogóle postaw potrzeba, ten jest fałszywy... Strzeżcie się wszelkich ludzi malowniczych! — Życie me lekkiem się stało, najlżejszem, gdy najcięższego żądało ode mnie. Kto mnie widział w ciągu tych siedmdziesięciu dni jesiennych, jak, bez przerwy, tworzyłem tylko same rzeczy najdoskonalsze, których nikt z ludzi po mnie nie zrobi — ani podrobi, z całą odpowiedzialnością za wszystkie wieki, które przyjdą po mnie, ten nie stwierdzi we mnie żadnego rysu napięcia, raczej przelewną świeżość i pogodę. Nie jadałem nigdy wśród uczuć przyjemniejszych; nie sypiałem nigdy lepiej. — Nie znam innego sposobu obcowania z wielkiemi zadaniami, jak zabawę: jest to oznaką wielkości, istotnem jej założeniem. Najmniejszy mus, posępna mina, jakiś twardy ton w gardle, wszystko to zarzuty przeciw człowiekowi, o ileż więcej przeciw jego dziełu!... Nie wolno mieć nerwów... Również cierpienie skutkiem samotności jest zarzutem, — cierpiałem zawsze tylko skutkiem »wielości«... W niedorzecznie wczesnych latach, w siódmym roku życia, wiedziałem już, że nie dosięże mnie nigdy żadne ludzkie słowo: widzianoż mnie kiedy tem zasmuconego? — Posiadam dziś jeszcze jednaką dla każdego uprzejmość, wyróżniam nawet najniższego: w tem wszystkiem niema źdźbła pychy, tajemnej pogardy. Kim pogardzam, ten zgaduje, że nim pogardzam: samem istnieniem swojem oburzam wszystko, co ma

krew lichą w żyłach... Moją formułą wielkości człowieka jest *amor fati;* że nie żąda się nic innego, ni wprzód, ni wstecz, po całą wieczność. To, co konieczne, nie jeno znosić, tem mniej zatajać — wszelki idealizm jest kłamliwością względem tego, co konieczne —, lecz je kochać...

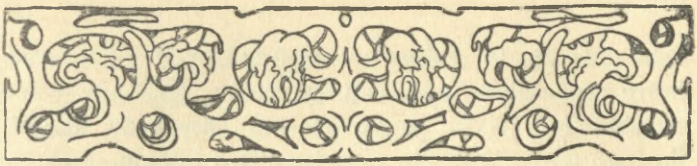

DLACZEGO TAK DOBRE PISZĘ KSIĄŻKI.

Co innego ja, co innego me pisma. — Niech na tem miejscu, zanim o nich samych mówić będę, poruszone będzie zagadnienie rozumienia lub n i e rozumienia tych pism. Czynię to tak niedbale, jak tylko ujść może: bo pytanie to jest zgoła jeszcze niewczesne. Ja sam jestem jeszcze niewczesny, niektórzy rodzą się pośmiertnymi. — Kiedyś potrzebne będą instytucye, w których się będzie żyć i uczyć, jak ja żyć i uczyć umiem; może nawet ustanowi się osobne katedry dla wykładu Zaratustry. Lecz byłoby to zgoła sprzeczne ze mną, gdybym już dziś oczekiwał uszu i r ą k dla m o i c h prawd: że dziś się nie słyszy, że się dziś wziąć nic ode mnie nie umie, to nie tylko zrozumiałe, to zda mi się nawet słuszne. Nie chcę, by mnie za kogo innego brano, — na to trzeba, bym sam się nie brał za kogo innego. — By rzec raz jeszcze, mało wykazać można w mem życiu »złej woli«; także literackiej złej woli choć jeden przykład trudnoby mi było przytoczyć. Natomiast zbyt wiele przykładów p r a w d z i w e j g ł u p o t y!...

Zda mi się to jednem z najrzadszych odznaczeń, które ktoś sobie wyświadczyć może, jeśli bierze mą książkę do ręki, — przypuszczam nawet, że zdejmie do tego trzewiki, — nie mówiąc już o butach... Kiedy raz doktor Henryk von Stein uczciwie uskarżał się na to, że nie rozumie ani słowa z mego Zaratustry, rzekłem mu, że wszystko w porządku: sześć zdań z niego zrozumiałych, to znaczy przeżytych, podnosi na wyższy szczebel śmiertelnych, niż ludzie »nowocześni« osiągnąć mogą. Jakżebym mógł ja, z tem poczuciem odległości, choćby tylko życzyć sobie, przez tych »nowoczesnych«, których znam, być czytanym! — Tryumf mój jest przeciwieństwem tryumfu Schopenhauera, — ja mówię *»non legor, non legar«*. Nie abym miał niedoceniać przyjemności, którą niejednokrotnie sprawia mi niewinność negowania mych książek. Jeszcze tego lata, w czasie, gdy mógłbym był swoją ważką, nazbyt ważką literaturą całą resztę literatury wysadzić z równowagi, dał mi pewien profesor wszechnicy berlińskiej łaskawie do zrozumienia, bym jednak inną posługiwał się formą: czegoś podobnego nikt nie czytuje. — Ostatnio nie Niemcy, lecz Szwajcarya, dostarczyła dwuch krańcowych przykładów. Rozprawa dr. W. Widmanna w *»Bund«*, o »Poza dobrem i złem«, pod nagłówkiem »Niebezpieczna książka Nietzschego«, i sprawozdanie ogólne z mych książek przez pana Karola Spittelera, również w *»Bund«*, są *maximum* w mem życiu — wystrzegam się rzec czego... Ostatni omawiał naprzykład mego Zaratustrę jako w wyższem znaczeniu ćwiczenie stylowe, życząc mi, bym później troszczył się jednak także o treść; dr. Widmann wyraził mi swój szacunek dla odwagi, z jaką

staram się o uprzątnięcie wszelkich uczuć przyzwoitych. — Dzięki przekorze drobnego przypadku było tu każde zdanie, z konsekwencyą, którą podziwiałem, wywróconą do góry nogami prawdą: nie było w gruncie nic do roboty, jak wszystkie »przemienić wartości«, by, w sposób nawet uwagi godny, wyminąwszy mnie, na włos utrafić — miast mnie wbić klin w głowę. Tem bardziej staram się rzecz wyjaśnić. — Ostatecznie nie może nikt z rzeczy, wliczając w to książki, wysłyszeć więcej, niż wie. Do czego nie ma się dostępu na podstawie tego, co się samemu przeżyło, na to zgoła nie ma się ucha. Wyobraźmy sobie teraz najdalej idący wypadek: że książka mówi o samych takich wydarzeniach, które leżą zupełnie poza możliwością częstego lub choćby rzadkiego doświadczenia, — że jest to pierwszy język dla oddania nowego szeregu doświadczeń. W tym wypadku, nie będzie się nic poprostu słyszało, w tem akustycznem złudzeniu, że gdzie się nic nie słyszy, tam też nic niema... Oto ostatecznie przeciętna mego doświadczenia i, jeśli chcecie, oryginalność mego doświadczenia. Kto sądził, że coś ze mnie zrozumiał, ten przykroił sobie coś ze mnie, na podobieństwo własne, — nie rzadko coś sprzecznego ze mną, naprzykład idealistę; kto nic nie zrozumiał ze mnie, przeczył, bym wogóle wchodził w rachubę. — Słowo »nadczłowiek« na oznaczenie typu najwyższej udaności, w przeciwieństwie do człowieka »nowoczesnego«, człowieka »dobrego«, chrześcijanina lub innego nihilisty — słowo, które w ustach Zaratustry, niszczyciela moralności, zastanawiającem staje się słowem — zrozumiano prawie wszędzie z całą niewinnością w znaczeniu owych wartości, których

przeciwieństwo ujawnione zostało w postaci Zaratustry: to znaczy jako typ »idealistyczny« wyższego rodzaju człowieka, na pół »świętego«, na pół »geniusza«... Inne uczone bydlę rogate podejrzywało mnie z jego powodu o darwinizm: rozpoznano w nim nawet ów tak gniewnie odtrącony przeze mnie »kult bohaterów« owego wielkiego fałszerza monet mimo wiedzę i wolę, Carlyle'a. Komu szepnąłem na ucho, by oglądnął się raczej jeszcze za jakimś Cezarem Borgią, niż za Parsifalem, ten własnym uszom nie wierzył. Że omówień mych książek, zwłaszcza w czasopismach, zgoła nie jestem ciekawy, to mi wybaczyć musicie. Przyjaciele moi, moi nakładcy wiedzą o tem, i nie mówią mi o czemś podobnem. Szczególnym przypadkiem raz wpadło mi w oczy wszystko, co przeciw jednej książce — było to »Poza dobrem i złem« — nagrzeszono: ładneby z tego było sprawozdanie. Czy to do wiary, że *Nationalzeitung* — (dziennik pruski, dla wiadomości mych czytelników zagranicznych, — ja sam, za pozwoleniem, czytuję tylko *Journal des Débats*) — z całą powagą zrozumiała tę książkę jako »znak czasu«, jako prawdziwą szczerą filozofię junkrów, do której *Kreuzzeitung* brak tylko odwagi?

2.

To powiedziano dla Niemców: bo wszędzie zresztą mam czytelników — same wybrane umysły, wypróbowane, na stanowiskach wysokich i w obowiązkach wysokich wychowane charaktery; mam

nawet prawdziwych geniuszów wśród swoich czytelników. W Wiedniu, w Petersburgu, w Sztokholmie, w Kopenhadze, w Paryżu i Nowym Jorku — wszędzie mnie odkryto: nie odkryto mnie w płaskoziemiu europejskim, w Niemczech... I, wyznam, że cieszę się bardziej jeszcze tymi, co mnie nie czytują, którzy ani imienia mego, ni słowa filozofia nigdy nie słyszeli; lecz dokąd tylko przyjdę, tu w Turynie naprzykład, pogodnieje i dobrotliwieje na widok mój każde oblicze. Co mi najbardziej dotąd pochlebiało, to że stare przekupki nie mają spokoju, nim mi z winogron swych nie powyszukują najsłodszych. Tak dalece trzeba być filozofem... Nie napróżno zwie się Polaków Francuzami wśród Słowian. Powabna Rosyanka nie pomyli się ani na chwilę, gdzie mnie zaliczyć. Nie udaje mi się mina uroczysta, dochodzę najwyżej do zakłopotania... Myśleć po niemiecku, czuć po niemiecku — mogę wszystko, lecz to przechodzi me siły. Już stary nauczyciel mój Ritschl twierdził, że nawet swe rozprawy filologiczne układam jak *romancier* paryski — z niedorzecznem napięciem. Nawet w Paryżu zdumiewają się nad »*toutes mes audaces et finesses*« — wyrażenie *monsieur* Taine'a —; lękam się, że aż do najwyższych form dytyrambu znajdzie się u mnie przymieszkę owej soli, która nie stanie się nigdy głupią — »niemiecką« —, *esprit*... Nie mogę inaczej. Tak mi Boże dopomóż! Amen. — Wiemy wszyscy, niektórzy nawet z doświadczenia, co to kłapouch. Otóż, śmiem twierdzić, że posiadam najmniejsze uszy. Zajmujące to niemało dla kobietek —, zda mi się, iż czują, że je lepiej rozumiem?... Jestem antyosłem *par excellence* i przeto wszechdziejowym

potworem, — jestem, mówiąc po grecku, i nie tylko po grecku, antychrystem...

3.

Znam poniekąd przywileje swe, jako pisarza; poszczególne wypadki zaświadczyły mi też, jak bardzo nawyknienie do mych książek »psuje« smak. Nie wytrzymuje się już poprostu innych książek, najmniej filozoficzne. Jest wyróżnieniem, nie mającem równego sobie, wejść w ten świat dostojny i delikatny, — na to nie śmie się zgoła być Niemcem; jest to w końcu wyróżnienie, na które trzeba sobie zasłużyć. Kto mi jednak wyżyną chcenia jest pokrewny, dozna przy tem prawdziwych zachwytów uczenia się: bo przybywam z wyżyn, w które żaden ptak nie wzbił się nigdy, znam przepaści, w które żadna jeszcze nie zabłąkała się stopa. Powiedziano mi, że niemożliwa wypuścić z rąk mojej książki, — że zakłócam nawet odpoczynek nocny... Niema zgoła dumniejszego i zarazem bardziej wyrafinowanego rodzaju książek: — osiągają one tu i ówdzie rzecz najwyższą, jaką na ziemi osiągnąć można, cynizm; trzeba je sobie zdobywać zarówno najdelikatniejszymi palcami, jak i najwaleczniejszemi pięściami. Wszelka ułomność duszy wyklucza stąd, raz na zawsze, nawet wszelka niestrawność: nie wolno mieć zgoła nerwów, trzeba mieć wesoły brzuch. Nie tylko ubóstwo, zatęchłe powietrze jakiejś duszy, wyklucza stąd, bardziej jeszcze tchórzliwość, niechlujność, tajna mściwość

w jelitach: jedno me słowo wpędza wszystkie liche instynkty w lica. Wśród znajomych swych mam niejedno zwierzę doświadczalne, na którem notuję sobie rozmaite, bardzo pouczająco rozmaite, oddziaływania na me pisma. Kto nie chce mieć nic do czynienia z ich treścią, moi tak zwani przyjaciele naprzykład, staje się przytem »bezosobisty«: życzy mi się szczęścia, żem znów »tak daleko«, — widoczny też postęp w większej pogodzie tonu... Zgoła występne »duchy«, »dusze piękne«, do dna i z gruntu kłamliwi, nie wiedzą z konieczności, co mają z temi począć książkami, — przeto widzą je pod sobą, piękna konsekwencya wszystkich »dusz pięknych«. Bydło rogate wśród moich znajomych, sami Niemcy, za pozwoleniem, daje do zrozumienia, że nie zawsze jest się mego zdania, atoli jednak czasami... Słyszałem to nawet o Zaratustrze... Również każdy »femininizm« w człowieku, także w mężczyźnie, jest mem zamknięciem drzwi przed nosem: nie wstąpisz nigdy w ten labirynt zuchwałych wiadomości. Trzeba było nigdy nie szczędzić samego siebie, trzeba twardości w nawyku, by wśród samych prawd twardych być dobrej myśli i pogodnym. Gdy roję sobie obraz doskonałego czytelnika, to staje się zeń zawsze potwór odwagi i ciekawości, prócz tego coś giętkiego, chytrego, przezornego, urodzony poszukiwacz przygód i odkrywca. Wreszcie: nie umiałbym rzec lepiej, do kogo w gruncie jedynie mówię, niż to rzekł Zaratustra: komuż jedynie chce on zagadkę opowiedzieć swoją?

»Wam śmiałym poszukiwaczom, kusicielom przygód i ktokolwiek chytrymi żaglami na morza wypływał straszliwe, —

Wam pijanym zagadką, radosnym w półmroku, których duszę flety w błędną wabią czeluść:

— bo nie chcecie tchórzliwemi dłońmi iść po nici omackiem, i gdzie odgadnąć możecie, tam nienawistnem wam jest dochodzić...«

4.

Zarazem powiem jeszcze ogólnie o mej sztuce stylu. Jakiegoś stanu, jakiegoś napięcia wnętrznego udzielić za pomocą znaków, wliczając w to *tempo* tych znaków, — to sens każdego stylu; a wobec tego, że mnogość stanów wnętrznych jest u mnie nadzwyczajna, posiadam wiele możliwości stylu — najrozmaitszą sztukę stylu wogóle, jaką kiedykolwiek rozporządzał człowiek. Dobry jest każdy styl, który pewnego stanu wnętrznego rzeczywiście udziela, który się co do znaków, co do *tempa* znaków, co do gestu — wszystkie prawa okresu są sztuką gestu — nie myli. Instynkt mój jest w tym względzie nieomylny. — Dobry styl sam w sobie — szczere błazeństwo, czysty »idealizm«: coś jak »piękno samo w sobie«, »dobro samo w sobie«, »rzecz sama w sobie«... Wciąż jeszcze przypuszczam, że istnieją uszy — że istnieją tacy, którzy są zdolni do podobnego, równego patosu i jego godni, że nie brak tych, którym udzielić się wolno. — Mój Zaratustra naprzykład szuka na razie jeszcze takich — ach, długo jeszcze szukać będzie musiał! — Trzeba być wartym słuchania go... I dopóty nie będzie nikogo, ktoby pojął sztukę, którą tu trwoniono: nikt nigdy

nie miał do strwonienia więcej środków sztuki, nowych, niesłychanych, które naprawdę dopiero stworzyć było trzeba. Że rzecz podobna właśnie w niemieckim możliwa była języku, pozostawało dowieść: ja sam byłbym przedtem najtwardziej to odpierał. Nie wiedziano przede mną, co język niemiecki może, — co wogóle język może. Sztukę wielkiego rytmu, wielkiego stylu okresowości dla wyrażenia niezmiernego wzbierania i opadania wzniosłej, nadludzkiej namiętności, dopiero ja odkryłem; jednym dytyrambem, jak ostatni trzeciego Zaratustry, pod nagłówkiem »siedm pieczęści«, wzleciałem tysiące mil ponad to, co dotąd poezyą się zwało.

5.

Że z pism mych przemawia psycholog, nie mający sobie równego, to może pierwsze zrozumienie, do którego dojdzie dobry czytelnik — czytelnik, na jakiego zasługuję, który mnie czyta, jak dobrzy starzy filologowie swego Horacego. Twierdzenia, na które w gruncie cały świat się godzi — nie mówiąc zgoła o filozofach z całego świata, moralistach i innych pustych garnkach i kapuścianych głowach — okazują się u mnie naiwnościami omyłki: naprzykład owa wiara, że »nieegoistyczność« i »egoistyczność« to przeciwieństwa, gdy tymczasem samo *ego* jest »wyższem oszustwem«, »ideałem«... Niema ani egoistycznych, ani nieegoistycznych postępków: oba pojęcia są nonsensem psychologicznym. Lub twierdzenie »człowiek dąży do szczęścia«... Lub

twierdzenie »szczęście jest nagrodą cnoty«... Lub twierdzenie »przyjemność i nieprzyjemność są przeciwieństwami«... Cyrce ludzkości, moralność, sfałszowała do dna i gruntu, przemoralniła wszystkie *psychologica*, aż do owej straszliwej niedorzeczności, że miłość jest czemś »nieegoistycznem«... Trzeba mocno tkwić w sobie, trzeba dzielnie stać na obu nogach, inaczej nie można kochać. Wiedzą to w końcu zbyt dobrze kobietki, dyabła tam sobie robią z bezosobistych, czysto objektywnych mężczyzn... Wolnoż mi przytem ważyć się na przypuszczenie, że znam kobietki? To wchodzi do mego dyonizyjskiego posagu. Kto wie? może jestem pierwszym psychologiem wieczystego pierwiastka kobiecości. Kochają mnie one wszystkie — stara historya: wyłączając kobietki unieszczęśliwione, »emancypantki«, którym niedostaje treści na dzieci. — Na szczęście nie mam ochoty dać się rozszarpać: doskonała kobieta rozszarpuje, gdy kocha... Znam te miłe Menady... Ach, co za niebezpieczne, skradające się, podziemne zwierzątko drapieżne! A tak przyjemne przy tem! Kobietka w pościgu za zemstą obali i stratuje samo przeznaczenie. — Kobieta jest niewymownie gorsza od mężczyzny, także mędrsza; dobroć w kobiecie jest już formą zwyrodnienia... U wszystkich tak zwanych »dusz pięknych« istnieje na dnie fizyologiczne niedomaganie, — nie powiem wszystkiego, inaczej stałbym się zbyt »medycyniczny«. Walka o równe prawa jest nawet objawem choroby: wie to każdy lekarz. — Kobieta, im jest więcej kobietą, broni się rękami i nogami przeciw prawom wogóle; naturalny stan rzeczy, wieczysta wojna między płciami, daje jej zgoła pierw-

sze miejsce. Miałoż się uszy dla mego określenia miłości? jest to jedyne określenie filozofa godne. Miłość — to w środkach swych wojna, w istocie swej śmiertelna nienawiść płci. Słyszanoż odpowiedź mą na pytanie, jak kobietę uleczyć — »zbawić«? Zrobić jej dziecko. Kobiecie potrzeba dzieci, mężczyzna jest zawsze tylko środkiem: tak rzekł Zaratustra. — »Emancypacya kobiety« — to śmiertelna nienawiść nieudanej, to znaczy rodzić niezdolnej kobiety, przeciw udanej, — walka z »mężczyzną« jest zawsze tylko środkiem, pozorem, taktyką. Wynosząc siebie, jako »kobietę samą w sobie«, jako »kobietę wyższą«, jako kawał »idealistki« kobiecej, pragną poniżyć ogólne stanowisko kobiety; niema pewniejszego do tego środka nad wykształcenie gimnazyalne, spodnie i polityczne prawa bydła wyborczego. Emancypantki są w gruncie anarchistami w świecie »wieczystego pierwiastka kobiecości«, rozbitkami, których najgłębszy instynkt szuka zemsty... Celem całego pewnego gatunku »idealizmu« — który zresztą zjawia się i u mężczyzn, naprzykład u Henryka Ibsena, tej typowej starej panny — jest zatruć czyste sumienie, naturę w miłości płciowej... I aby nie pozostawić pod tym względem zgoła wątpliwości co do swego przyzwoitego i surowego sposobu myślenia, pragnę przytoczyć jeszcze jedno zdanie z mego kodeksu moralnego przeciw występkowi: słowem tem zwalczam wszelki rodzaj przeciwnaturalności, lub, jeśli się piękne lubi słowa, idealizmu. Zdanie to brzmi: »Głoszenie czystości płciowej jest jawnem podżeganiem przeciw naturze. Wszelka pogarda życia płciowego, wszelkie zanieczyszczenie go pojęciem »nieczysty« jest istotnym występkiem względem ży-

cia, — jest właściwym grzechem przeciw duchowi świętemu życia.« —

6.

By dać pojęcie o sobie jako o psychologu, przytaczam osobliwą próbkę psychologii, znajdującą się w »Poza dobrem i złem«, — zabraniam zresztą wszelkich przypuszczeń, kogo na tem opisuję miejscu: »Geniusz serca, właściwy owemu wielkiemu utajonemu, owemu bogu-kusicielowi i urodzonemu łowcy sumień, którego głos sięgać umie aż w głąb podziemia każdej duszy; który nie powie słowa, nie rzuci spojrzenia, by nie tkwił w niem podstęp i wabik mrugnięcia; w którego mistrzostwie mieści się zdolność, że umie się wydawać — i nie tem, czem jest, lecz tem, co dla idących za nim będzie jednym przymusem w i ę c e j, by coraz bliżej garnąć się do niego, coraz wierniej i ściślej iść za nim... Geniusz serca, który wszystko, co głośne i rozmiłowane w sobie, ucisza i słuchać uczy, który szorstkie dusze wygładza i daje im nowego zakosztować pożądania: — leżeć cicho, jak zwierciadło, by się głębokie odbijało w nich niebo... Geniusz serca, który chamską i za pochopną rękę powściągliwą być uczy i wdzięczniej ujmować; który skarb ukryty i zapomniany, krople dobroci i słodkiej duchowości pod mętnym, grubym odgaduje lodem i różdżką jest czarodziejską dla każdego źdźbła złota, pogrzebanego oddawna w więzieniu mułu i piasku... Geniusz

serca, od którego każdy, kogo on tknął, bogatszym odchodzi, nie jako ktoś ułaskawiony i zaskoczony niespodzianką, nie jak ktoś cudzem dobrem uszczęśliwiony i obarczony, lecz samym sobą bogatszy, nowszy dla siebie niż przedtem, roztwarty, owiany i wysłuchany przez wiatry odwilży, niepewniejszy może, wątlejszy, bardziej łomki i złamany, lecz pełen nadziei, które jeszcze nie mają imienia, pełen nowej chęci i dopływu, pełen nowej niechęci i odpływu...«

NARODZINY TRAGEDYI. By być sprawiedliwym względem »Narodzin tragedyi« (1872), trzeba niejedno zapomnieć. Działały a nawet czarowały tem, co w nich było chybione — oddaniem się na użytek wagnerszczyzny, jak gdyby ta była objawem wzmagającego się życia. Pismo to było właśnie dlatego w życiu Wagnera wypadkiem: od tej dopiero chwili zaczęto wiązać wielkie nadzieje z nazwiskiem Wagnera. Dziś jeszcze przypominają mi to, świecąc mi każdym razem Parcifalem w oczy: że to ja właściwie mam na sumieniu, iż tak wysokie mniemanie o kulturalnej wartości tego ruchu wzięło górę. Spotkałem kilkakrotnie pismo to przytaczane jako »Odrodzenie tragedyi z ducha muzyki«: miano tylko uszy dla nowej sztuki, zamysłu, zadania Wagnera, — poza tem puszczono mimo uszu to, co w gruncie wartościowego pismo to kryło. »Hellenizm i pesymizm«: to byłby był niedwuznaczny nagłówek: to jest jako pierwsze pouczenie, w jaki sposób Grecy załatwili się z pesymizmem — czem go przezwyciężyli... Właśnie tragedya jest dowodem, że Grecy nie byli pesymistami: Schopenhauer pomylił się w tem, jak

się we wszystkiem pomylił. — Jeśli się z pewną bezstronnością weźmie »Narodziny tragedyi« do ręki, to wydają się one bardzo niewczesne, nikomuby się nawet nie śniło, że zaczęto je wśród grzmotów walki pod Wörth. Przemyślałem te problematy pod murami Metzu, w zimne noce wrześniowe, podczas służby przy pielęgnowaniu rannych; możnaby raczej już mniemać, że pismo to jest o pięćdziesiąt lat starsze. Jest ono politycznie obojętne — »niemieckie«, powiedzianoby dzisiaj —, zatrąca niemiło Heglem, jest tylko w kilku formułach przesiąknięte karawaniarską perfumą Schopenhauera. »Idea« — przeciwieństwo pierwiastku dyonizyjskiego i apollińskiego — przetłumaczona na język metafizyki; dzieje same jako rozwój tej »idei«; w tragedyi przeciwieństwo wyniesione do jedności; pod tą optyką rzeczy, które nigdy jeszcze w twarz nie patrzyły sobie, znagła przeciwstawione, z siebie nawzajem oświetlone i pojęte... Naprzykład opera i rewolucya... Dwie rozstrzygające nowości tej książki to po pierwsze zrozumienie zjawiska dyonizyjskiego u Greków — daje ona jego pierwszą psychologię, widzi w nim jeden korzeń całej sztuki greckiej. — Drugie to zrozumienie sokratyzmu: Sokrates jako narzędzie rozkładu greckiego, jako typowy *décadent* rozpoznany po raz pierwszy. »Rozumność« przeciw instynktowi. »Rozumność« za wszelką cenę, jako moc niebezpieczna, podkopująca życie! — Głębokie, nieprzyjazne milczenie o chrześcijaństwie w całej książce: nie jest ono ani apollińskie, ani dyonizyjskie, zaprzecza wszelkich wartości estetycznych — jedynych wartości, jakie »Narodziny tragedyi« uznają: jest ono w naj-

głębszem znaczeniu nihilistyczne, gdy tymczasem symbol dyonizyjski dosięga najdalszej granicy potwierdzenia. Raz napomknięto o kapłanach chrześcijańskich »jako o złośliwym rodzaju karłów«, »podziemków«...

2. Początek ten jest ze wszech miar podziwu godny. Dla swego najwnętrzniejszego doświadczenia odkryłem jedyną, jaką dzieje znają, przenośnię i odpowiednik, tem samem pierwszy pojąłem cudowne zjawisko dyonizyjskie. Tak samo tem, żem poznał w Sokratesie pierwszego *décadent*, dałem zgoła niedwuznaczny dowód, jak mało pewność mego psychologicznego dotyku narażona jest na niebezpieczeństwo ze strony jakiejkolwiek idyosynkrazyi moralnej: — sama moralność, jako objaw *décadence* jest nowością, jedynością pierwszorzędną w dziejach poznania. Jakże jednem i drugiem daleko odskoczyłem od politowania godnej, płytkogłowej gadaniny o optymiźmie przeciw pesymizmowi! — Pierwszy ujrzałem przeciwieństwo właściwe: — wyrodniejący instynkt, który z podziemną mściwością zwraca się przeciw życiu (— chrześcijaństwo, filozofia Schopenhauera, w pewnem znaczeniu już filozofia Platona, cały idealizm, jako formy typowe) i z pełni, z nadmiaru zrodzona formuła najwyższego potwierdzenia, przyświadczanie bez zastrzeżeń, nawet cierpieniu, nawet winie, nawet wszystkiemu, co zagadkowe i obce w istnieniu... To ostateczne, najradośniejsze, przezbytkownie zuchwałe przyświadczanie życiu jest nietylko zrozumieniem najwyższem, jest także najgłębszem, najściślej przez prawdę i wiedzę potwierdzonem i dowiedzio-

nem. Nie można nic, co jest, potrącić, nic nie jest zbyteczne — odrzucone przez chrześcijan i innych nihilistów strony istnienia stoją na nieskończenie nawet wyższym stopniu na drabinie wartości, niż instynkt *décadence* mógł był uznać, nazwać dobrem. Aby to pojąć, na to trzeba odwagi, a jako jej warunku, nadwyżki siły: bo ściśle wedle tego, jak daleko śmie naprzód się ważyć odwaga, ściśle w miarę siły, zbliża się człowiek do prawdy. Poznanie, przyświadczanie rzeczywistości, jest dla silnego taką samą koniecznością, jak dla słabego, z podszeptu słabości, tchórzenie i ucieczka przed rzeczywistością — »ideał«... Nie jest do woli im dane poznawać: *décadents* potrzebują kłamstwa, — jest ono jednym z ich warunków utrzymania się przy życiu. — Kto słowo »dyonizyjskość« nie tylko pojmuje, lecz siebie w słowie »dyonizyjskość« pojmuje, temu nie potrzeba zbijać Platona, lub chrześcijaństwa, lub Schopenhauera — on węszy gnicie...

3. Jak dalece przez to właśnie znalazłem pojęcie »tragiczności«, ostateczne zrozumienie, czem jest psychologia tragedyi, to wyraziłem ostatnio jeszcze w »Zmierzchu bożyszcz« str. 126. »Przyświadczanie życiu nawet w jego najdziwniejszych i najsroższych przejawach, wola życia, która, ofiarowując najwyższe swe typy, raduje się własnemu niewyczerpaniu, to dyonizyjskiem nazwałem, to pojąłem jako most do psychologii poety tragicznego. Nie ażeby się uwolnić od grozy i litości, nie ażeby przez wybuch namiętny oczyścić się z niebezpiecznego uczucia — jak to rozumiał Arystoteles —: lecz aby, ponad grozą i litością, samemu być wieczną rozkoszą

stawania się, — ową rozkoszą, która mieści w sobie jeszcze i rozkosz niszczenia...« W tem znaczeniu mam prawo uważać się za pierwszego filozofa tragicznego — to znaczy za najskrajniejsze przeciwieństwo i antypodę filozofa-pesymisty. Przede mną nikt nie przemienił patosu dyonizyjskiego na filozoficzny: brak było mądrości tragicznej, — próżno szukałem jej śladów nawet u owych wielkich filozofów Grecyi, tych, co żyli na dwa stulecia przed Sokratesem. Została mi wątpliwość co do Heraklita, w którego bliży wogóle mi cieplej, milej na duchu, niż gdziekolwiek. Potwierdzanie przemijania i niszczenia, rzecz rozstrzygająca w filozofii dyonizyjskiej, przyświadczanie przeciwności i wojnie, stawanie się, z zasadniczem odrzuceniem nawet samego pojęcia »bytu« — to uznaję pod każdym względem za najbardziej sobie pokrewne z wszystkiego, co dotąd pomyślano. Nauka o »wiecznym nawrocie«, to znaczy o bezwarunkowem i nieskończenie powtarzającem się kołowaniu wszech rzeczy — ta nauka Zaratustry mogła też ostatecznie już być głoszona. Przynajmniej Stoa, która prawie wszystkie zasadnicze wyobrażenia odziedziczyła po Heraklicie, wykazuje tego ślady. —

4. Z pisma tego przemawia niezmierna nadzieja. Ostatecznie nie mam zgoła powodu cofać nadziei na dyonizyjską przyszłość muzyki. Rzućmy okiem sto lat naprzód, przypuśćmy, że mój zamach na dwa tysiącolecia przeciwnaturalności i pohańbienia człowieka się uda. Owo nowe stronnictwo życia, które weźmie w ręce największe z wszech zadań, wyższą hodowlę człowieka, włączając w to bezlitosne zni-

weczenie wszystkiego, co zwyrodniałe i pasorzytnicze, umożliwi znowu na ziemi ów nadmiar życia, z którego wyrość znów musi stan dyonizyjski. Zapowiadam okres tragiczny: najwyższa sztuka przyświadczania życiu, tragedya, odrodzi się, gdy ludzkość będzie miała świadomość najtwardszych, lecz najkonieczniejszych wojen za sobą, i nie ucierpi na tem... Psycholog mógłby dodać jeszcze, że to, co w młodych leciech w wagnerowskiej muzyce słyszałem, nie miało wogóle nic z Wagnerem wspólnego; że opisując muzykę dyonizyjską, opisywałem to, co ja słyszałem, — że musiałem wszystko instynktownie przełożyć i przekształcić na nowego ducha, którego w sobie nosiłem. Dowodem tego, tak silnym jak tylko dowód być może, jest pismo moje »Wagner w Bayreucie«: we wszystkich psychologicznie rozstrzygających ustępach jest tylko o mnie mowa, — można bezwzględnie wstawić me nazwisko lub słowo Zaratustra, gdzie tekst słowo Wagner podaje. Cały obraz artysty dytyrambicznego jest obrazem przedbytowego twórcy Zaratustry, narysowanym z bezdenną głębią i bez dotykania choćby na mgnienie oka rzeczywistości wagnerowskiej. Sam Wagner to czuł; nie poznał siebie w tem piśmie. — Tak samo »wspomnienie z Bayreuthu«, zmieniło się w coś, co dla znawców mego Zaratustry nie będzie pojęciem zagadkowem: w owo wielkie południe, gdzie najwybrańsi uświęcają się do największego z wszech zadań — kto wie? wizya święta, którego jeszcze dożyję... Patos pierwszych stronic jest wszechdziejowe; spojrzenie, o którem na siódmej stronie jest mowa, jest właściwem spojrzeniem Zaratustry; Wagner, Bayreuth,

cała mała nędzota niemiecka jest chmurą, w której odzwierciadla się bezkresna *fata morgana* przyszłości. Nawet psychologicznie zostały wszystkie rozstrzygające rysy mej własnej natury wciągnięte w naturę Wagnera — zestawienie najjaśniejszych i najfatalniejszych sił, wola mocy, jakiej nigdy żaden nie posiadał człowiek, bezwzględna waleczność w rzeczach duchowych, nieograniczona siła uczenia się, bez stłumienia przez to woli czynu. Wszystko jest w książce tej prorocze: blizkość powrotu ducha greckiego, konieczna potrzeba antyaleksandrów, którzyby węzeł gordyjski kultury greckiej znowu związali, gdy już został rozwiązany... Posłuchajcie wszechdziejowego akcentu, który na stronie 30 wprowadza pojęcie »nastroju tragicznego«: są w tem piśmie same tylko akcenty wszechdziejowe. Najprzedziwniejsza to »przedmiotowość«, jaka istnieć może: absolutna pewność co do tego, czem jestem, przerzucała się na pierwszą lepszą rzeczywistość przypadkową, — prawda o mnie przemawiała z przejmującej grozą głębi. Na stronie 71 został styl Zaratustry z przenikającą pewnością opisany i wyprzedzony; i nigdy nie znajdzie się wspanialszego wyrazu na zdarzenie, którem jest Zaratustra, akt niezmiernego oczyszczenia i uświęcenia ludzkości, jak go na stronie 43—46 znaleziono. —

NIEWCZESNE ROZMYŚLANIA. Cztery Niewczesne Rozmyślania są nawskroś wojownicze. Dowodzą, że nie byłem zgoła »Jankiem marzycielem«, że sprawia mi przyjemność władać szpadą, może też, że mam przegub dłoni niebezpiecznie giętki. Pierwszy atak (1873) wymierzony był przeciw wykształ-

ceniu niemieckiemu, na które patrzałem już wówczas z bezlitosną pogardą. Bez sensu, bez treści, bez celu: prawdziwa »opinia publiczna«. Niema złośliwszego nieporozumienia nad mniemanie, że wielkie powodzenie oręża niemieckiego dowodzi w czemkolwiek tego wykształcenia — lub zgoła jego zwycięstwa nad Francyą... Drugie Niewczesne Rozmyślanie (1874) wywodzi na światło niebezpieczeństwo toczące i trujące życie, a tkwiące w naszym sposobie fabrykowania nauki —: życie chore jest od tego odczłowieczonego zespołu kół zębatych i mechanizmu, od »nieosobowości« robotnika i fałszywej ekonomii »podziału pracy«. Ginie cel, kultura: — środek, nowoczesne fabrykowanie nauki, barbaryzuje... W rozprawie tej rozpoznano »zmysł historyczny«, z którego dumne jest nasze stulecie, jako chorobę, jako typowy znak upadku. — W trzeciem i czwartem Niewczesnem Rozmyślaniu, przeciwstawiono jako wskazówki do wyższego pojęcia kultury, do przywrócenia pojęcia »kultury«, dwa obrazy najtwardszego samolubstwa, samochowu, typy niewczesne *par excellence,* pełne królewskiej pogardy dla wszystkiego, co wokół zwało się »państwem«, »wykształceniem«, »chrześcijaństwem«, »Bismarkiem«, »powodzeniem«, — Schopenhauera i Wagnera czyli, jednem słowem, Nietzschego...

2. Z tych czterech ataków pierwszy miał powodzenie nadzwyczajne. Hałas, jaki wywołał, był w każdem znaczeniu wspaniały. Uraziłem naród zwycięski w chore miejsce, — że zwycięstwo ich nie jest zdarzeniem z zakresu kultury, lecz może, może czemś zgoła innem... Odpowiedzi padały ze

wszystkich stron i nie tylko od starych przyjaciół Dawida Straussa, którego ośmieszyłem, jako typ ukształconego filistra niemieckiego, słowem, jako autora ewangelii z szynkwasu o »starej i nowej« wierze (wyraz filister ukształcony przeszedł z mego pisma w mowę). Ci starzy przyjaciele, którym jako Würtembergczykom i Szwabom głębokie pchnięcie zadałem, uznawszy ich dziwotwór, ich Straussa, komicznym, odpowiadali tak poczciwie i po grubiańsku, jak tylko życzyć sobie mogłem; odwzajemnienia pruskie były rozsądniejsze, — miały w sobie więcej »błękitu berlińskiego«. Na największą nieprzyzwoitość zdobył się dziennik lipski, osławione »*Grenzboten*«; z trudem powstrzymałem oburzonych Bazylejczyków od kroków w tej sprawie. Bezwzględnie po mojej stronie stanęło tylko kilku starych panów, z różnych i po części niewyjaśnionych powodów. Między nimi Ewald z Getyngi, który dał do zrozumienia, że zamach mój był w skutku śmiertelny dla Straussa. Podobnie stary heglista Bruno Bauer, w którym miałem odtąd jednego z najuważniejszych czytelników. Lubił w ostatnich swych latach odsyłać do mnie, naprzykład podawać panu von Treitschke, historyografowi pruskiemu, wskazówkę, gdzieby mógł się czegoś dowiedzieć o straconem pojęciu »kultury«. Rzecz najgodniejszą uwagi i najdłuższą o tem piśmie i jego autorze powiedział stary uczeń filozofa von Baadera, niejaki profesor Hoffman z Würzburga. Z pisma tego przewidział wielkie dla mnie przeznaczenie, — że sprowadzę pewnego rodzaju przesilenie i najwyższe rozstrzygnięcie problematu ateizmu, którego typ najinstynktowniejszy i najbezwzględniejszy odgadł we mnie. Ateizm to zawiódł mnie do Schopenhauera. — Zgoła najlepiej słysza-

nem, najbardziej gorzko odczutem było silne i dzielne wstawiennictwo tak łagodnego zresztą Karola Hillebranda, tego ostatniego ludzkiego Niemca, jaki umiał władać piórem. Można było czytać rozprawę jego w »*Augsburger Zeitung*«; dziś czytać ją można w nieco ostrożniejszej formie, w jego pismach zebranych. Tutaj przedstawił to pismo jako zdarzenie, punkt zwrotny, pierwsze zastanowienie się, najlepszy znak, jako prawdziwy powrót powagi niemieckiej i namiętności niemieckiej w sprawach duchowych. Hillebrand podnosił wysoko formę pisma, jego smak dojrzały, jego doskonały takt w rozróżnianiu osoby i rzeczy: wyróżniał je jako najlepsze pismo polemiczne, jakie po niemiecku napisano, — w tak właśnie dla Niemców niebezpiecznej, tak niedoradzanej sztuce polemiki. Przyświadczając bezwzględnie, obostrzając nawet to, co ważyłem się powiedzieć o zgałganieniu języka w Niemczech (— dziś udają purystów, a nie umieją już żadnego zdania zbudować), z równą pogardą dla »najpierwszych pisarzy« tego narodu, zakończył wyrażeniem mi swego podziwu za odwagę moją — tę »najwyższą odwagę, która właśnie ulubieńców ludu sadza na ławie oskarżonych«... Skutek tego pisma jest poprostu nieoceniony w mem życiu. Nikt dotąd nie szukał ze mną zwady Milczy się, traktuje się mnie w Niemczech z posępną ostrożnością: od lat czyniłem użytek z bezwzględnej wolności słowa, dla której nikt dzisiaj, a najmniej w »państwie«, nie ma dość wolnej ręki. Mój raj leży »w cieniu mego miecza«... W istocie urzeczywistniłem w życiu przykaz Stendhala: radzi on wstęp do społeczeństwa otworzyć sobie pojedynkiem. I jakiego wybrałem sobie przeciwnika! pierwszego

Niemca wolnomyślnego!... W samej rzeczy, zgoła n o w y rodzaj wolnomyślicielstwa znalazł przez to swój pierwszy wyraz: do dziś dnia nie znam nic bardziej obcego i dziwniejszego, jak cała europejska i amerykańska *species »libres penseurs«*. Z nimi, jako z niepoprawnymi płytkogłowami i błaznami, żyję w głębszej nawet niezgodzie, niż z którymkolwiek z ich przeciwników. Chcą także, swoim sposobem, »poprawiać« ludzkość na własne podobieństwo, podjęliby przeciw temu, czem jestem, czego c h c ę, nieprzejednaną wojnę, pod warunkiem gdyby to umieli, — wierzą wszyscy jeszcze w »ideał«... Ja jestem pierwszym i m m o r a l i s t ą. —

3. Nie mógłbym twierdzić, że dwa Niewczesne Rozmyślania, odznaczone nazwiskami Schopenhauera i Wagnera, mogłyby osobliwie posłużyć do zrozumienia obu wypadków lub choćby tylko do psychologicznego postawienia kwestyi, — coś niecoś, jak słuszna, wyjąwszy. Tak naprzykład pierwiastek natury Wagnera został już tu z głęboką pewnością instynktu określony, jako zdolność aktorska, która w środkach i zamysłach wyciąga tylko własne konsekwencye. W gruncie pragnąłem w tych pismach zgoła czego innego, jak uprawiać psychologię: — niezrównany problemat wychowania, nowe pojęcie s a m o h o d o w l i, s a m o o b r o n y aż do twardości, droga do wielkości i zadań wszechdziejowych wymagały dla się pierwszego wyrazu. Na ogół biorąc chwyciłem dwa sławne i zgoła nieustalone jeszcze typy za czub, jak się za czub chwyta sposobność, by coś wypowiedzieć, mieć w ręce o kilka formuł, znaków, środków językowych więcej. Zaznaczono to

też ostatecznie z niesamowitą zgoła przenikliwością na str. 93 trzeciego Niewczesnego Rozmyślania. Podobnie posłużył się Platon Sokratesem, jako semiotyką dla Platona. — Teraz, gdy z niejakiej odległości wstecz patrzę na owe stany, których świadectwem są te pisma, nie chciałbym przeczyć, że w gruncie mówią one tylko o mnie. Pismo »Wagner w Bayreucie« jest wizyą mojej przyszłości; natomiast »Schopenhauer jako wychowawca« mieści w sobie najwnętrzniejsze dzieje, moje stawanie się. Przedewszystkiem mój ślub!... Od tego, czem dziś jestem, gdzie dziś jestem — na wyżynie, gdzie już nie słowy, lecz błyskawicami przemawiam — och, jakże daleko byłem wówczas jeszcze! — Lecz widziałem ląd, — nie łudziłem się ani chwili, co do drogi, morza, niebezpieczeństwa — a także powodzenia! Ten wielki spokój w przyrzekaniu, to szczęście patrzenia hen w przyszłość, która niema zostać jeno obietnicą! — Każde słowo jest tu przeżyte, głębokie, wnętrzne; nie brak najboleśniejszych, są tam słowa wprost krwią broczące. Lecz wicher wielkiej wolności dmie ponad wszystkiem; nawet rana nie działa jak zarzut. — Jak ja filozofa rozumiem, jako straszliwy materyał wybuchowy, od którego wszej rzeczy niebezpieczeństwo grozi, jak daleko na mile oddzielam swe pojęcie filozofa od pojęcia, w którem jeszcze Kant nawet się mieści, pomijając już akademickich »przeżuwaczy« i innych profesorów filozofii: o tem daje to pismo nieocenione pouczenie, przypuszczając nawet, że tu w gruncie nie »Schopenhauer jako wychowawca«, lecz jego przeciwieństwo, »Nietzsche jako wychowawca« dochodzi do głosu. — Wobec tego, że rzemiosłem mem wówczas było rze-

miosło uczonego, a może też dlatego, żem na swem rzemiośle się znał, nie jest bez znaczenia cierpka próbka psychologii uczonego, która w tem piśmie nagle się pojawia: wyraża ona uczucie odległości, głęboką pewność tego, co może być u mnie zadaniem, co tylko środkiem, aktem pośrednim i dziełem pobocznem. W tem mądrość tkwi moja, żem był niejednem i w niejednem miejscu, by móc stać się jednem, — by móc osiągnąć jedno. Czas jakiś musiałem być także uczonym.

LUDZKIE, ARCYLUDZKIE. Z dwoma dodatkami. »Ludzkie, arcyludzkie« jest pomnikiem przesilenia. Zwie się ono książką dla duchów wolnych: każde tam prawie zdanie wyraża zwycięstwo — uwolniłem się przez nią od wszystkiego, co obce mej naturze. Obcy jest mi idealizm: nagłówek powiada »gdzie wy ideały widzicie, ja widzę — co ludzkie, ach tylko arcyludzkie!...« Znam człowieka lepiej... Nie można tu w żadnem innem znaczeniu rozumieć słowa »duch wolny«: duch wyzwolony, który na nowo posiadł samego siebie. Ton, dźwięk głosu zmienił się zgoła: uzna się książkę tę za mądrą, chłodną, przy sposobności twardą i drwiącą. Pewna duchowość dostojnego smaku zdaje się nieustannie brać górę nad namiętnym nurtem na dnie. W tym związku ma to swe znaczenie, że wydanie książki już na rok 1878 usprawiedliwia się niejako właściwie rocznicą śmierci Voltaire'a. Bo Voltaire, w przeciwieństwie do wszystkiego, co po nim pisano, to przedewszystkiem *grandseigneur* ducha: to właśnie, czem ja też jestem. — Nazwisko

Voltaire'a na książce mojej — to był prawdziwie postęp — k u s o b i e... Przyglądając się dokładnie, odkryje się bezlitosnego ducha, ryjącego wszystkie kryjówki, gdzie zadomowił się ideał, — gdzie ma swe piwnice więzienne i niejako ostatnie swoje schronienie. Pochodnia w ręku, zgoła »chwiejnego« nie dająca światła, przeszywającą oświeca jasnością to ideału p o d z i e m i e. Jest to wojna, lecz wojna bez prochu i dymu, bez postaw wojowniczych, bez patosu i masy powykręcanych członków — nawet to wszystko byłoby jeszcze »idealizmem«. Jednej omyłce po drugiej pozwala się spokojnie osiąść na lodzie, nie zbija się ideału — on m a r ź n i e... Tu naprzykład marźnie »geniusz«, nieopodal marźnie »święty«, pod grubymi soplami lodu marźnie »bohater«, na końcu marźnie »wiara«, tak zwane »przekonanie«, także ochładza się znacznie »litość« — prawie wszędzie marźnie »rzecz sama w sobie«...

2. Początki tej księgi przypadają na tygodnie pierwszych uroczystych przedstawień w Bayreucie; głęboka obcość względem wszystkiego, co mnie tam otaczało, jest jednem z jej założeń. Kto ma pojęcie, jakie wizye już wtedy zabiegały mi drogę, zgadnie, jak mi było na sercu, gdym się dnia pewnego w Bayreucie obudził. Zgoła jakbym śnił... Gdzież to byłem? Nie poznawałem niczego, nie poznawałem Wagnera. Napróżno grzebałem we wspomnieniach. Tribschen — daleka wyspa szczęśliwości: ni cienia podobieństwa. Nieporównane dni położenia kamienia węgielnego, nieliczne d o b r a n e towarzystwo, które je święciło i któremu nie trzeba było życzyć dopiero palców dla rzeczy delikatnych: ni cienia podobień-

stwa! Co się stało? — Przetłumaczono Wagnera na niemieckie! Wagnerzysta zapanował nad Wagnerem! — Sztuka niemiecka, mistrz niemiecki, piwo niemieckie!... My, którzy zbyt dobrze wiemy, do jak kosmopolitycznego smaku sztuka Wagnera jedynie przemawia, zdumiewaliśmy się, odnalazłszy Wagnera obwieszonego »cnotami« niemieckiemi. — Sądzę, że znam wagnerzystę, »przeżyłem« trzy pokolenia, od nieboszczyka Brendla, który Wagnera brał za Hegla, aż do »idealistów« z *Beyreuther Blätter*, którzy Wagnera biorą za siebie samych, — słyszałem wszelkiego rodzaju wyznania »dusz pięknych« o Wagnerze. Królestwo za jedno mądre słowo! — Zaprawdę, towarzystwo, aż włosy stają na głowie! Nohl, Pohl, Kohl z gracyą *in infinitum**). Żadnego potworka tam nie brak, nawet antysemity. — Biedny Wagner! W cóż to wdepnął! — Żebyż był przecie pojechał przynajmniej między świnie! Lecz między Niemców!... Ostatecznie należałoby, dla nauki potomności, prawdziwego Bayreutczyka wypchać, lepiej jeszcze wsadzić w spirytus, bo niedopisał tam *spiritus* —, z napisem: Tak wyglądał »duch«, na którym zbudowano »państwo«... Dość, że wyjechałem podówczas na kilka tygodni, bardzo nagle, mimo że pewna powabna Paryżanka starała się mnie pocieszyć; wobec Wagnera usprawiedliwiłem się tylko fatalistycznym telegramem. W skrytej głęboko wśród borów Lasu Czeskiego miejscowości, w Klingenbrunn, obnosiłem się z melancholią i pogardą Niemców, jak z chorobą, — i wpisywałem kiedy niekiedy, pod

* Gra słów nie do oddania. *Prz. tł.*

ogólnym nagłówkiem »Lemiesz«, zdanie w swój notatnik, same t w a r d e *psychologica,* które może dadzą się jeszcze odnaleźć w »Ludzkiem, arcyludzkiem«.

3. Co się wówczas we mnie rozstrzygnęło, to snać nie zerwanie z Wagnerem — czułem ogólne zbłąkanie swego instynktu, którego poszczególna pomyłka, czy zwie się ona Wagnerem, czy profesurą bazylejską, była tylko znakiem... Opadło mnie z n i e c i e r p l i w i e n i e sobą; zrozumiałem, że czas najwyższy pomyśleć znowu o s o b i e. Nagle stało mi się w sposób straszny jasne, jak wiele już czasu strwoniłem —, jak bezużytecznie, jak samowolnie wygląda całe moje istnienie filologiczne na tle mego zadania. Wstydziłem się tej f a ł s z y w e j skromności... Dziesięć lat poza sobą, w których właściwie o d ż y w i a n i e ducha próżnowało we mnie, w których nie douczyłem się nic potrzebnego, w których zapomniałem niedorzecznie dużo dla rupieci zapylonej uczoności. Przeciskać się przez metryków starożytnych z drobiazgowością i słabemi oczyma — do tegom doszedł! — Z politowaniem widziałem się zgoła chudym, zgoła zagłodzonym: r z e c z y w i s t o ś c i brakło właśnie wnętrzu mojej wiedzy, a »idealności« dyabła były warte! — Chwyciło mnie poprostu palące pragnienie: odtąd w samej rzeczy nie zajmowałem się już niczem prócz psychologii, medycyny, nauk przyrodniczych, — nawet do właściwych studyów historycznych powróciłem dopiero, kiedy mnie z a d a n i e do tego rozkazodawczo zmusiło. Wtedy też odgadłem dopiero związek między sprzecznie z instynktem obraną działalnością,

tak zwanem »powołaniem«, do którego najmniej jest się powołanym — i swą potrzebą zagłuszenia uczucia czczości i głodu z pomocą sztuki narkotycznej — naprzykład sztuki Wagnera. Rozejrzawszy się uważniej odkryłem, że w takiem samem złem położeniu znajduje się wielka ilość młodzieńców: jedna przeciwnaturalność wymusza formalnie drugą. W Niemczech, w »państwie«, by nie być dwuznacznym, jest aż zbyt wielu skazanych rozstrzygać o sobie przedwcześnie i potem marnieć pod niedającem się zrzucić brzemieniem... Ci pragną Wagnera, jako opiatu, — zapominają o sobie, pozbywają się siebie na chwilę... Co mówię! napięć do sześciu godzin! —

4. Wówczas oświadczył się mój instynkt nieubłaganie przeciw dłuższemu jeszcze ustępowaniu, chodzeniu za innymi, braniu siebie za kogo innego. Wszelki rodzaj życia, najniepomyślniejsze warunki, choroba, ubóstwo — wszystko zdawało mi się godniejsze wyboru, niż owa nikczemna »bezosobistość«, w którą zabrnąłem zrazu z nieświadomości, przez młodość, a w której potem uwiązłem z lenistwa, z tak zwanego »poczucia obowiązku«. — Tu przyszło mi, w sposób, któremu dość się nadziwić nie mogę i właśnie w sam czas, na pomoc owo złe dziedzictwo po mym ojcu, — w istocie przeznaczenie wczesnej śmierci. Choroba wyzwalała mnie zwolna: oszczędziła mi wszelkiego zerwania, wszelkiego gwałtownego i urażającego kroku. Nie straciłem wówczas niczyjej życzliwości i dużo jej jeszcze zyskałem. Choroba dała mi zarazem prawo do zupełnej zmiany mych wszystkich nawyknień; pozwa-

lała, nakazywała zapomnieć; obdarzyła mnie koniecznością leżenia spokojnie, próżnowania, czekania i cierpliwości... Lecz to przecie znaczy myśleć! I oczy moje skończyły z wszystkiem, co trąci mólem książkowym, po naszemu filologią: uwolniłem się od »książki«, nie czytałem nic przez lata całe — największe dobrodziejstwo, jakie kiedykolwiek sobie wyświadczyłem! — Owa najgłębsza samość, niejako zasypana, niejako uciszona pod ustawicznym musem słuchania innych samości (— a tem jest przecie czytanie!) budziła się zwolna, nieśmiała, wątpliwa, — lecz w końcu znów przemówiła. Nigdym sam sobie nie sprawiał tyle szczęścia, jak w najbardziej chorych i najboleśniejszych czasach swego życia: wystarczy spojrzeć na »Jutrzenkę«, lub choćby na »Wędrowca i jego cień«, by pojąć, czem był ten »powrót do siebie«: najwyższym rodzajem istotnego ozdrowienia!... To drugie było tylko tego wynikiem. —

5. Ludzkie, arcyludzkie, ten pomnik karnej samohodowli, dzięki której nagły kres położyłem zawleczonemu w siebie »wyższemu oszustwu«, »idealizmowi«, »pięknym uczuciom«, zostało w wszystkich zasadniczych punktach spisane w Sorrento; zakończenie swe, ostateczną formę, otrzymało podczas zimy bazylejskiej, wśród stosunków daleko niepomyślniejszych, niż w Sorrento. W gruncie rzeczy ma książkę tę na sumieniu pan Piotr Gast, wówczas do bazylejskiej uczęszczający wszechnicy i bardzo mi życzliwy. Dyktowałem, z głową obwiązaną i bolącą, on przepisywał, on też korygował, — on był w gruncie właściwym pisarzem, ja natomiast byłem tylko auto-

rem. Gdy ostatecznie książka gotowa rąk doszła moich — ku głębokiemu zdziwieniu ciężko chorego —, posłałem między innymi także dwa egzemplarze do Bayreuth. Cudem, jakby ukryta myśl tkwiła w przypadku, nadszedł do mnie równocześnie piękny egzemplarz tekstu Parsifala, z dedykacyą Wagnera dla mnie, »swemu drogiemu przyjacielowi Fryderykowi Nietzschemu, Ryszard Wagner, radca kościelny«. — To skrzyżowanie się dwuch książek — zdało mi się, jakbym przy tem złowróżbny słyszał dźwięk. Nie brzmiałże, jakby skrzyżowały się m i e c z e?... W każdym razie czuliśmy to obaj: bo milczeliśmy obaj. — Podówczas pojawiły się pierwsze *Bayreuther Blätter:* pojąłem, n a c o był najwyższy czas. — Nie do wiary! Wagner stał się bogobojny...

6. Co wówczas (1876) o sobie myślałem, z jaką niezmierną pewnością dzierżyłem w garści swoje zadanie i to, co w niem wszechdziejowego, o tem świadczy cała książka, atoli przedewszystkiem bardzo wyraźny ustęp: jeno że, z instynktowną u mnie przebiegłością, także tutaj ominąłem znów słówko »ja« i tym razem, już nie Schopenhauera ani Wagnera, lecz jednego z mych przyjaciół, znakomitego dra Pawła Rée, wszechdziejową opromieniłem chwałą — na szczęście stworzenie zbyt subtelne, aby... Inni mniej byli subtelni: beznadziejnych wśród czytelników swoich, naprzykład typowego profesora niemieckiego, poznawałem zawsze po tem, że na podstawie tego ustępu mniemali, iż całą książkę należy rozumieć jako wyższy réealizm... W rzeczywistości przeczy ona pięciu, sześciu twierdzeniom mego przy-

jaciela: należy w tym względzie przeczytać przedmowę do Genealogii moralności. — Ustęp ten brzmi: Jakież jest jednak zasadnicze twierdzenie, do którego doszedł jeden z najśmielszych i najzimniejszych myślicieli, autor książki »O pochodzeniu uczuć moralnych« *(lisez:* Nietzsche, pierwszy immoralista) na podstawie swych trafnych, przenikliwych rozbiorów postępowania ludzkiego? »Człowiek moralny nie jest bliższy świata myślnego, niż człowiek fizyczny — bowiem niema zgoła świata myślnego...« Zdanie to, zahartowane i wyostrzone pod młotem dziejowego poznania (*lisez*: Przemiana wszystkich wartości) posłuży może kiedyś, w przyszłości — 1890! — za siekierę, którą przyłoży się do korzenia »metafizycznej potrzeby ludzkości« — czy bardziej ku błogosławieństwu lub przekleństwu ludzkości, któż mógłby to powiedzieć? Atoli w każdym razie, jako zdanie o poważnych skutkach, płodne i straszne zarazem, i patrzące na świat owem podwójnem spojrzeniem, które mają wszystkie wielkie poznania...

JUTRZENKA. MYŚLI O PRZESĄDACH MORALNYCH. Książką tą rozpoczyna się moja wyprawa przeciw moralności. Bynajmniej nie żeby choć trochę prochem czuć ją było: — zgoła inne i daleko milsze poczuje się w niej wonie, pod warunkiem, że ma się w nozdrzach nieco wrażliwości. Nie jest to ani ciężkie, ani też lekkie działo: jeśli skutek książki jest negatywny, nie są nimi zgoła te środki, z których skutek wynika jako wniosek, nie jak wystrzał armatni. Że czytelnik rozstaje się z książką z lękliwą ostrożnością względem wszystkiego, co

dotąd pod nazwą moralności zdobyło cześć a nawet uwielbienie, to nie stoi w sprzeczności z tem, że w całej książce nie napotyka się zgoła negatywnego słowa, napadu, złośliwości, — że raczej spoczywa ona w słońcu, krągła, szczęśliwa, podobna zwierzowi morskiemu, który wśród skał wygrzewa się w słońcu. Ostatecznie ja sam byłem tym zwierzem morskim: prawie każde zdanie tej książki pomyślane jest, pochwycone w tem skalnem zamieszaniu koło Genui, gdzie byłem sam i jeno z morzem miałem wspólne tajemnice. Jeszcze teraz, gdy przypadkiem dotknę tej książki, zmienia się dla mnie każde zdanie w cypel, na którym znowu coś niezrównanego wyciągam z głębiny: cała jej skóra drży od pieściwych dreszczów wspomnienia. Sztuka, która ją odznacza, niemała jest w tem, że rzeczy, które lekko i bez szmeru przemykają się mimo, chwile, które boskiemi zowę jaszczurkami, utrwala nieco — zgoła nie z okrucieństwem owego młodego boga greckiego, który biedną jaszczureczkę poprostu nadział, lecz zawsze przecie na coś ostrego, na pióro... »Ileż to jutrzenek, które jeszcze nie jaśniały« — ten indyjski napis widnieje na drzwiach do tej książki. Gdzież szuka jej twórca owego zarania nowego, owej dotąd nieodkrytej jeszcze różaności, którą się znowu dzień zaczyna, — ach, cały szereg, cały świat nowych dni! W Przemianie wszystkich wartości, w uwolnieniu się od wszystkich wartości moralnych, w przyświadczaniu i ufaniu wszystkiemu, co dotąd zabronione, pogardzone i przeklęte było. Ta książka przyświadczająca zlewa swe światło, swą miłość, swą czułość na same rzeczy złe, powraca im znowu »duszę«, czyste sumienie, wysokie prawo i przywilej istnienia. Nie

atakuje się moralności, nie bierze się już jej tylko w rachubę... Książkę tę kończy »albo też?«, — jest to jedyna książka, którą kończy »albo też?«...

2. Moje zadanie przygotowania chwili najwyższego opamiętania się ludzkości, wielkiego południa, gdy spojrzy wstecz i w dal, gdy wydobędzie się z pod panowania przypadku i kapłanów i pytanie: dlaczego? po co? postawi po raz pierwszy jako całość —, to zadanie wynika siłą konieczności ze zrozumienia, że ludzkość nie sama przez się idzie właściwą drogą, że jest zgoła nie po bosku rządzona, że raczej właśnie pod pokrywą jej najświętszych pojęć wartości władał zwodniczo instynkt przeczenia, zepsucia, *décadence*. Zagadnienie co do pochodzenia wartości moralnych jest przeto dla mnie zagadnieniem pierwszorzędnem, bo jest warunkiem przyszłości człowieka. Żądanie, by wierzono, że w gruncie wszystko jest w dobrych rękach, że jakaś książka, biblia, ostatecznie uspokaja co do boskiego kierownictwa i mądrości w losie ludzkości, jest, tłumacząc to na powrót na język rzeczywistości, wolą niedopuszczenia do głosu prawdy o politowania godnem tego przeciwieństwie, to jest, że ludzkość dotąd w najgorszych była rękach, że rządzili nią rozbitkowie, podstępnie mściwi, tak zwani święci, ci oczerniciele świata i hańbiciele człowieka. Rozstrzygającą oznaką, która wykazuje, że kapłan (— zaliczam tutaj przyczajonych kapłanów, filozofów) nie tylko w obrębie określonego związku religijnego, lecz wogóle stał się panem; że moralność *décadence*, wola końca, uchodzi za moralność

samą w sobie, rozstrzygającą tego oznaką jest bezwarunkowa wartość, którą przyznają wszędzie pierwiastkowi nieegoistycznemu i wrogość przypadająca egoistycznemu w udziale. Kto na tym punkcie nie zgadza się ze mną, tego uważam za zarażonego... Lecz cały świat jest ze mną w niezgodzie... Fizyologowi nie pozostawia takie przeciwstawienie wartości żadnego wątpienia. Skoro najmniejszy narząd wewnątrz organizmu przestaje choćby w najmniejszym stopniu spełniać z zupełną pewnością czynności samoodżywiania, nagradzania sobie ubytku siły, swego egoizmu, wtedy wyrodnieje całość. Fizyolog żąda wycięcia części zwyrodniałej, zaprzecza jednolitości z tem, co zwyrodniałe, nie ma dlań litości najmniejszej. Lecz kapłan chce właśnie zwyrodnienia całości, ludzkości: przeto zachowuje to, co zwyrodniałe — za tę cenę staje się jej panem... Jakież znaczenie mają te kłamliwe pojęcia pomocnicze moralności, »dusza«, »duch, »wolna wola«, »bóg«, jeśli nie to, by ludzkość fizyologicznie zniweczyć? Jeśli się odwraca powagę od samozachowania, od wzmagania sił ciała, to znaczy życia, jeśli się z blednicy buduje ideał, z pogardy ciała »zbawienie duszy«, to cóż to innego, jeśli nie przepis na *décadence?* — Strata ważkości, opór przeciw instynktom przyrodzonym, jednem słowem »bezosobistość« — to zwało się dotąd moralnością... »Jutrzenką« podjąłem walkę przeciw moralności wyzucia się z siebie. —

WIEDZA RADOSNA (»LA GAYA SCIENZA»). »Jutrzenka« to książka przyświadczająca, głęboka, lecz jasna i dobrotliwa. To samo stosuje się raz jeszcze

i w stopniu wyższym do *gaya scienza:* prawie w każdem zdaniu głębia myśli i swawola trzymają się czule za ręce. Wiersz, wyrażający wdzięczność za ten najcudowniejszy miesiąc styczeń, jaki przeżyłem — cała księga jest jego darem — zdradza dostatecznie, z jakiej tu głębi »wiedza« się rozradowała:

O ty, którego miecz płomienny
W kry rozbił mojej duszy lód,
Że mknie ku toni mórz bezdennej,
W najwyższej swej nadziei cud:
Jaśniejsza codzień, zdrowsza żwawiej,
Choć ją miłosny pęta mus,
Wolna: — więc cuda twoje sławi,
O sanctus Januarius! —

Co tu »najwyższą nadzieją« się zowie, któż może wątpić, widząc na końcu czwartej księgi rozbłyskującą piękność dyamentową pierwszych słów Zaratustry? — Lub czytając granitowe zdania na końcu księgi trzeciej, które po raz pierwszy ujmują w formułę przeznaczenie dla wszech czasów? Pieśni księcia Lekkoducha, w przeważnej części na Sycylii stworzone, przypominają najwyraźniej prowansalskie pojęcie *»gaya scienza«*, ową jedność pieśniarza, rycerza i ducha wolnego, którą owo przedziwne zaranie kultury prowansalskiej wznosi się nad wszystkie wątpliwe kultury; zwłaszcza ostatni poemat »do Mistrala«, rozpasana pieśń taneczna, w której, za pozwoleniem! tańczy się po trupie moralności, jest doskonałym prowansalizmem. —

TAK RZEKŁ ZARATUSTRA. KSIĄŻKA DLA WSZYSTKICH I DLA NIKOGO. Opowiem teraz dzieje Zaratustry. Zasadniczy pomysł dzieła, pomysł wieczystego nawrotu, ta najwyższa formuła potwierdzenia, jaką wogóle osiągnąć można —, sięga sierpnia roku 1881: zapisany został na kartce z napisem: »6000 stóp poza człowiekiem i czasem«. Pewnego dnia szedłem lasami nad jeziorem koło Silvaplana; zatrzymałem się przy potężnej, piramidalnie spiętrzonej skale obok Surlei. Wtedy nawiedziła mnie ta myśl. — Cofnąwszy się od dnia tego o kilka miesięcy wstecz, spostrzegam, jako zapowiedź, nagłą i do głębi rozstrzygającą zmianę smaku, przedewszystkiem w muzyce. Możnaby całego Zaratustrę zaliczyć do muzyki; — niewątpliwie, że pierwszym tego warunkiem było słyszeć odrodzenie sztuki. W małej górskiej miejscowości kąpielowej niedaleko Vicenzy, w Recoaro, gdzie spędziłem wiosnę roku 1881, odkryłem, pospołu z moim *maëstro* i przyjacielem, Piotrem Gastem, również »odrodzonym«, że feniks muzyki przelatywał obok nas lżejszemi i świetlistszemi pióry, niż je miał kiedykolwiek. Licząc natomiast od dnia tego wprzód, aż do nagłego i w najnieprawdopodobniejszych warunkach odbytego połogu w lutym r. 1883 — część końcowa, ta sama, z której w Przedmowie kilka przytoczyłem zdań, ukończona została ściśle w tej samej świętej godzinie, o której w Wenecyi skonał Ryszard Wagner — to na ciążę przypada ośmnaście miesięcy. Ta liczba właśnie ośmnastu miesięcy mogłaby naprowadzić na myśl, wśród buddystów naprzykład, że w gruncie jestem słoniem-samicą. — Na czas pośredni przypada »*la gaya scienza*«, która mieści

sto zapowiedzi, iż zbliża się coś niezrównanego; w końcu podaje jeszcze początek samego Zaratustry, podaje w przedostatnim ustępie czwartej księgi zasadniczą myśl Zaratustry. — Tak samo na ten czas pośredni przypada hymn do życia (na chór mieszany i orkiestrę), którego partytura pojawiła się przed dwoma laty u E. W. Fritscha w Lipsku: objaw, nie bez znaczenia może, stanu z owego roku, gdy patos przyświadczający *par excellence*, zwany przeze mnie patosem tragicznym, w najwyższym przepełniał mnie stopniu. Kiedyś śpiewać go będą na moją pamiątkę. — Tekst, zaznaczam wyraźnie, bo panuje pod tym względem nieporozumienie, nie jest mój: jest to zdumiewające natchnienie młodej Rosyanki, z którą wówczas żyłem w przyjaźni, panny Lou von Salomé. Kto wogóle myśl ostatnich słów poematu rozumie, zgadnie, dlaczegom go wyróżnił i podziwiał: mają wielkość. Ból nie jest zarzutem przeciw życiu: »Jeżeli szczęścia już mi dać nie możesz, dobrze! masz dla mnie jeszcze mękę...«

Może i muzyka moja posiada w miejscu tem wielkość. (Ostatnia nuta oboi cis, nie c. Omyłka druku). — Następnej zimy mieszkałem w owej wdzięcznie cichej zatoce Rapallo, wciskającej się między Chiavari i Porto fino pod Genuą. Zdrowie me nie było najlepsze; zima chłodna i nadmiernie deszczowa; małe *albergo,* tuż nad morzem, tak, że wzburzony żywioł odejmował sen nocą, przedstawiało niemal we wszystkiem przeciwieństwo tego, czegoby się życzyło. Pomimo to, i właśnie na dowód mego twierdzenia, że wszystko, co rozstrzygające, powstaje »pomimo«, właśnie tej zimy

i w tych nieprzychylnych warunkach powstał mój Zaratustra. Przed południem chadzałem w górę w kierunku południowym, wspaniałą drogą do Zoagi wiodącą, mijając pinie i mając widok daleki na morze; popołudniu, jeśli tylko zdrowie pozwalało, obchodziłem całą zatokę świętej Małgorzaty aż poza Porto fino. Miejscowość ta i krajobraz były jeszcze bliższe sercu mojemu dzięki wielkiej miłości, którą żywił dla nich cesarz Fryderyk Trzeci; bawiłem na jesieni r. 1886 przypadkiem znów na tem wybrzeżu, kiedy odwiedzał po raz ostatni ten mały zapomniany świat szczęścia. — Na tych dwuch drogach powstał we mnie cały pierwszy Zaratustra, przedewszystkiem Zaratustra sam, jako typ: właściwiej, napadł mnie...

2. By typ ten zrozumieć, trzeba wyjaśnić wprzód jego założenie fizyologiczne: jest niem to, co zowę wielkiem zdrowiem. Nie umiem pojęcia tego wyświetlić lepiej, osobiściej, niż to uczyniłem w jednym z końcowych rozdziałów księgi piątej w »*gaya scienza*«. »My nowi, bezimienni, trudno zrozumiali — brzmi ten ustęp,—my przedwczesne płody niedowiedzionej jeszcze przyszłości — potrzebujemy do nowego celu także nowego środka, to jest nowego zdrowia, silniejszego, szczwańszego, giętszego, zuchwalszego, weselszego, niż dotąd wszystkie były zdrowia. Czyja dusza pragnie przeżyć cały obszar dotychczasowych wartości i pożądaności i objechać wszystkie pobrzeża tego idealnego »morza śródziemnego«; kto wiedzieć chce z przygód własnego doświadczenia, co czuje zwycięzca i odkrywca ideału, tak samo artysta, święty, prawodawca, mędrzec, uczony, bogobojny i boski sa-

motnik starego stylu, temu potrzeba na to przedewszystkiem wielkiego zdrowia — takiego, które nietylko się ma, lecz które się nieustannie zdobywa, i zdobywać może, ponieważ wiecznie się je poświęca, poświęcać musi... I oto skorośmy długo w ten sposób wędrowali, my Argonauci ideału, odważniejsi może, niż roztropnie było, i dość często doznając rozbicia i szkody, lecz jak się rzekło zdrowi, ciągle na nowo zdrowi, — to zdaje nam się wtedy, jakobyśmy w nagrodę za to mieli przed sobą ląd nieodkryty jeszcze, którego granic nikt dotąd nie przejrzał, jakiś pozaobręb wszystkich dotychczasowych lądów i zakątków ideału, świat tak przebogaty w to, co piękne, obce, pytania godne, straszliwe i boskie, że nasza ciekawość, tak samo jak nasza żądza posiadania wypadły z równowagi, — ach, że nic nas odtąd nasycić nie może! Jakże moglibyśmy się, po takich widokach i wobec takiej zachłanności w rzeczach sumienia i wiedzy, zadowolić jeszcze człowiekiem teraźniejszym? To dość źle: lecz nieuniknione jest, że najzacniejszym jego celom i nadziejom przyglądamy się tylko z źle podtrzymywaną powagą i nie przyglądamy się już nawet. Inny mamy przed sobą ideał, cudowny, kuszący, pełen niebezpieczeństw ideał, do któregobyśmy nie nakłaniali nikogo, ponieważ nie przyznajemy nikomu tak łatwo prawa do niego: ideał ducha, który naiwnie, to jest mimowolnie i z przelewnej mocy i pełni, igra z wszystkiem, co dotąd świętem, dobrem, nietykalnem, boskiem zwano; dla którego to, co najwyższe, to, w czem tłum słusznie widzi swą wartości miarę, znaczy prawie tyle, co niebezpieczeństwo, upadek, poniżenie, lub co najmniej odpoczynek,

ślepota, czasowe zapomnienie o sobie: ideał ludzko-nadludzkiego zdrowia i życzliwości, który często nieludzkim zdawać się może, naprzykład, gdy stanie obok całej dotychczasowej, ziemskiej powagi, obok wszelkiego rodzaju uroczystości w ruchu, słowie, dźwięku, spojrzeniu, moralności i zadaniu, jako wcielona mimowolna parodya — i z którym, mimo to wszystko, zaczyna się może właśnie dopiero wielka powaga, staje właściwy znak pytania, odwraca się przeznaczenie duszy, cofa wskazówka, zaczyna tragedya...«

3. Maż kto, z końcem dziewiętnastego stulecia, dokładne o tem pojęcie, co poeci silnych stuleci zwali natchnieniem? Jeśli nie, to opiszę. Ktoby posiadał choć ślad przesądu, nie umiałby się w samej rzeczy obronić wyobrażeniu, że jest tylko wcieleniem, tylko narzędziem, tylko *medium* potęg przemożnych. Pojęcie objawienia, — w tem znaczeniu, że coś nagle z niewysłowioną pewnością i dokładnością widzialne, słyszalne się staje, coś, co człowieka do głębi wzburza i wstrząsa, — określa poprostu stan rzeczy. Słyszy się, nie szukając, bierze się, nie pytając, kto daje; myśl wystrzela jak błyskawica, z koniecznością, w formie bez wahania, — nie miałem nigdy wyboru. Zachwyt, którego napięcie wyzwalało się niekiedy w strumieniu łez, — w którym krok poniewolnie już to jak burza gna, już to powolny się staje; zupełna nieprzytomność przy ścisłej świadomości subtelnych drżeń i dreszczów, aż do kończyn stóp; głębia szczęścia, w którem to, co najboleśniejsze i najposępniejsze, nie działa jako przeciwieństwo, lecz jako coś uwarunkowanego, wy-

wołanego, jako konieczna barwa wśród takiego nadmiaru światła; instynkt stosunków rytmicznych, przesklepiający dalekie przestrzenie form — długość, potrzeba dalekonośnego rytmu jest nieledwo miarą potęgi natchnienia, rodzajem wyrównania względem ucisku i napięcia... Wszystko dzieje się w najwyższym stopniu poniewolnie, lecz jakby w wichurze uczucia wolności, bezwarunkowości, mocy, boskości... Poniewolność obrazu, przenośni jest rzeczą najprzedziwniejszą; nie ma się już zgoła pojęcia, co jest obrazem, co przenośnią, wszystko jawi się, jako wyraz najbliższy, najwłaściwszy, najprostszy. Zdaje się naprawdę, by przypomnieć słowa Zaratustry, jak gdyby rzeczy podchodziły same i narzucały się przenośni (— »tu rzeczy wszystkie podchodzą pieściwie ku mowie twojej i schlebiają ci: gdyż chcą na grzbiecie pojeżdżać twoim. Na każdej przenośni ku nowej prawdzie pojeżdżasz. Tuć otwierają się wszelkiego bytu słowa i skrzynie słów; byt wszelki chce stać się tu słowem, wszelkie stawanie się pragnie nauczyć się mówić od ciebie —«). Oto moje doświadczenie natchnienia; nie wątpię, że o tysiące lat cofnąć się trzeba, by znaleźć kogoś, coby rzec mi śmiał: »jest też i mojem«. —

4. W kilka tygodni potem, leżałem w Genui chory. Potem nastąpiła osmętna wiosna w Rzymie, gdzie znosiłem życie — nie było to łatwem. W gruncie mierziło mnie nadmiernie to dla twórcy Zaratustry najnieprzystojniejsze miejsce na ziemi, któregom nie obrał dobrowolnie; starałem się uciec, dostać się do Aquili, pojęcia przeciwnego do

Rzymu, założonej z wrogości dla Rzymu, podobnie jak ja kiedyś miejsce założę na pamiątkę ateisty i wroga *comme il faut* Kościoła, najbliżej ze mną spokrewnionego, wielkiego z Hohenstaufów cesarza, Fryderyka Drugiego. Lecz fatum ciążyło nad tem wszystkiem: musiałem wrócić. Ostatecznie zadowoliła mnie *piazza Barberini*, kiedy mnie znużyło staranie się o okolicę antychrystową. Lękam się, czym też pewnego razu, by zejść jak najbardziej brzydkim woniom z drogi, nie dowiadywał się nawet w *palazzo Quirinale* o cichy pokój dla filozofa. — Wysoko nad wymienioną *piazzą*, na *loggii*, z której widać Rzym cały, a głęboko na dole słychać szmer fontanny, stworzona została owa pieśń najsamotniejsza, jaka kiedykolwiek stworzona została, Pieśń nocy; podówczas prześladowała mnie, krążyła koło mnie zawsze melodya niewymownie smętna, której refren odnalazłem w słowach »martwy z nieśmiertelności...« W zimie, wróciwszy na święte miejsce, gdzie zalśniła mi pierwsza błyskawica pomysłu Zaratustry, znalazłem drugiego Zaratustrę. Starczyło dziesięć dni; w żadnym wypadku, ani dla pierwszego, ni dla drugiego, ni dla ostatniego więcej nie było mi trzeba. Zimy następnej pod halkiońskiem niebem Nizzy, które wówczas po raz pierwszy, olśniło me życie, znalazłem trzeciego Zaratustrę — i byłem gotów. Ledwo rok, licząc naogół. Wiele utajonych miejsc i wyżyn Nizzy uświęciły mi chwile niezapomniane: ów ustęp, rozstrzygający, noszący nagłówek »O starych i nowych tablicach«, stworzyłem podczas żmudnego wstępowania od stacyi ku cudownemu maurytańskiemu gniazdu skalnemu Eza, — sprawność mięśni była u mnie zawsze

największa, kiedy siła twórcza najsilniej tryskała. Ciało jest natchnione: pozostawmy duszę w spokoju... Można mnie było często widzieć tańczącego; mogłem wtedy, bez cienia znużenia, chodzić siedm, ośm godzin po górach. Sypiałem dobrze, śmiałem się dużo —, posiadałem zupełną krzepkość i cierpliwość.

5. Poza temi dziełami dni dziesięciu były lata podczas Zaratustry, a przedewszystkiem po nim, nędzą nieporównaną. Drogo przypłaca się nieśmiertelność: kona się wzamian kilkakrotnie za życia. — Jest coś, co nazywam *rancune* wielkości: wszelka wielkość, dzieło, czyn, raz dokonane, zwracają się niezwłocznie przeciw temu, który je zdziałał. Właśnie dlatego, że je zdziałał, jest teraz słaby, — nie wytrzymuje już swego czynu, nie patrzy mu już w twarz. Mieć coś, czego nigdy nie śmiało się chcieć, poza sobą, coś, w czem zadzierzgnął się węzeł przeznaczenia ludzkości — i mieć to teraz na sobie! To miażdży niemal... *Rancune* wielkości! — Drugie, to straszliwa cisza, którą się słyszy wokół siebie. Samotność ma siedm skór; nic nie przenika przez nie. Przychodzi się do ludzi, pozdrawia się przyjaciół: nowa pustka, żadne nie pozdrawia spojrzenie. W najlepszym razie rodzaj buntu. Takiego buntu doświadczałem, w bardzo różnym stopniu, lecz prawie ze strony każdego, co mi był blizki: zda mi się, że nic nie obraża głębiej, jak nagle dać poznać odległość, — dostojne natury, które nie umieją żyć, nie czcząc, są rzadkie. — Trzecie, to niedorzeczna drażliwość skóry wobec drobnych ukłuć, rodzaj bezsilności wobec wszystkiego, co małe. Zdaje mi się ona wynikać

z olbrzymiego trwonienia wszystkich sił obronnych, które jest założeniem wszelkiego czynu twórczego, wszelkiego czynu dobytego z najgłębszej swej istoty, wnętrza i dna. Małe władze obronne są tem samem niejako w zawieszeniu; nie mają już żadnego dopływu siły. — Ważę się jeszcze zaznaczyć, że się gorzej trawi, niechętniej porusza, zbyt się otworem stoi dla wszelkich uczuć mrożących, także dla nieufności, — nieufności, która w wielu wypadkach jest tylko omyłką etyologiczną. W takim stanie odczułem raz blizkość stada krów w powrocie łagodniejszych, życzliwszych ludziom myśli, zanim je jeszcze ujrzałem: W tem jest ciepło...

6. Dzieło to istnieje samo dla siebie. Zostawmy poetów na boku: może wogóle nie stworzono nic nigdy z podobnego nadmiaru siły. Moje pojęcie »dyonizyjskości« stało się tu najwyższym czynem; w porównaniu z niem cała reszta ludzkiej działalności wydaje się ubogą i warunkową. Że taki Goethe, Szekspir ani przez chwilę nie umiałby oddychać wśród tej niezmiernej namiętności i wyżyny, że, Dante, wobec Zaratustry, jest tylko wyznawcą a nie kimś, kto prawdę tworzy, duchem rządzącym światem, przeznaczeniem —, że poeci Wedy to kapłani, i nawet nie godni rozwiązać rzemyka u obuwia Zaratustry, to rzecz najmniejsza, i nie daje zgoła pojęcia o odległości, o lazurowej samotności, w jakiej dzieło to żyje. Zaratustra ma wieczyste prawo mówić: »zakreślam koła wkrąg siebie i święte granice; coraz mniej liczni wstępują ze mną na coraz wyższe szczyty, — buduję turnie z coraz świętszych gór«. Zliczcie ducha i dobroć

wszystkich dobrych dusz w jedno: wszystkieby razem nie zdołały wydać jednej mowy Zaratustry. Olbrzymia to drabina, po której on wchodzi i schodzi; więcej widział, więcej chciał, więcej mógł, niż jakikolwiek człowiek. Przeczy każdem słowem, ten najbardziej przyświadczający z wszech duchów; wszystkie sprzeczności złączyły się w nim w nową jedność. Najwyższe i najgłębsze siły natury człowieczej, to, co najsłodsze, najlżejsze i najstraszliwsze, wypływa z jednego źródła z nieśmiertelną pewnością. Nie wiedziano dotąd, co to wyżyna, co głębia, jeszcze mniej wiedziano, co to prawda. Niema chwili w tem objawieniu prawdy, którąby już był uprzedził, odgadł któryś z największych. Niema zgoła mądrości, badania dusz, sztuki przed Zaratustrą; to, co najbliższe, najcodzienniejsze, mówi tu o rzeczach niesłychanych. Sentencya drżąca namiętnością; wymowa, co się muzyką stała; błyskawice, ciskane w nieodgadnione dotąd przyszłości. Najpotężniejsza zdolność przenośni, jaka dotąd istniała, jest ubóstwem i igraszką wobec tego powrotu mowy do natury obrazowości. — A jak to Zaratustra się zniża i do każdego najdobrotliwiej przemawia! Jak nawet swych przeciwników, kapłanów, delikatnemi dotyka rękoma i wraz z nimi z powodu nich cierpi! — Każdej chwili przezwycięża się człowieka, pojęcie »nadczłowieka« stało się najwyższą rzeczywistością, — w nieskończonej dali leży to, co dotąd wielkiem w człowieku się zdało, pod nim. Pierwiastek halkioński, lekkie nogi, wszechobecność złośliwości i zuchwalstwa i co wogóle typowe jest dla typu Zaratustry, nawet we śnie nie zdawało się istotnie właściwe wielkości. Zaratustra czuje się właśnie w tej pojemności prze-

strzeni, w tej dostępności dla przeciwieństw najwyższym rodzajem wszelkiego jestestwa; i jeśli kto usłyszy, jak on go określa, zrzeknie się szukania jego przenośni.

»— dusza, która najdłuższą ma drabinę i najgłębiej zejść może,

dusza najprzestronniejsza, która najdalej w siebie zabiec, w sobie błądzić i bujać może,

najkonieczniejsza, która z rozkoszą w przypadek się rzuca,

dusza istniejąca, która stawania się chce, posiadająca, która chce chcenia i żądania,

uciekająca od siebie, która siebie najdalszemi kręgami dościga,

dusza najmędrsza, której szaleństwo najsłodziej doradza,

samą siebie najbardziej kochająca, w której wszystkie rzeczy mają swe prądy i nawroty, przypływ i odpływ — —«.

To jest jednak pojęcie samego Dyonizosa. — Do tego samego wiedzie inne rozważanie. Psychologicznym problematem w typie Zaratustry jest to, jakim sposobem ten, który w niesłychanym stopniu przeczy słowem, przeczy czynem wszystkiemu, czemu dotychczas przyświadczano, może pomimo to być przeciwieństwem ducha przeczącego; jakim sposobem duch, dźwigający na sobie najcięższe z przeznaczeń, złowieszcze zadanie, może pomimo to być najlżejszy i nadgwiezdny — Zaratustra jest tancerzem —; jakim sposobem ten, który posiadł najtwardsze, najstraszliwsze zrozumienie rzeczywistości, który pomyślał »myśl najprzepastniejszą«, może pomimo to nie widzieć w tem zarzutu przeciwko istnie-

niu, nawet nic przeciw jego wiecznemu nawrotowi, — raczej jeszcze jeden powód więcej, by być samemu wiecznem »tak«, mówionem wszem rzeczom, »niezmiernem, bezgranicznem »tak« i »Amen«... »We wszystkie przepaście bez dna niosę jeszcze błogosławiące swe »tak«... Lecz jest to pojęcie Dyonizosa raz jeszcze.

7. Jakimż językiem mówić będzie duch taki, kiedy mówi z sobą samym? Językiem dytyrambu. Jestem wynalazcą dytyrambu. Posłuchajcie, jak Zaratustra przed wschodem słońca (str. 228) mówi z sobą: takiego szmaragdowego szczęścia, takiej boskiej pieściwości nie znał żaden przede mną język. Nawet najgłębszy smętek takiego Dyonizosa zmienia się jeszcze w dytyramb; biorę dla przykładu pieśń nocy, — nieśmiertelną skargę, że jest się przez nadmiar światła i mocy, przez swą naturę słoneczną skazanym nie kochać.

»Noc: teraz mówią głośniej wszystkie wodotryski. I dusza moja jest też wodotryskiem.

Noc: teraz dopiero budzą się pieśni wszystkich kochających. I dusza moja jest także pieśnią kochającego.

Coś nieuciszonego, nieuciszalnego we mnie chce mówić. Pożądanie miłości jest we mnie, które samo przemawia językiem miłości.

Światłem jestem: ach, obymż był nocą! Lecz w tem samotność moja, że jestem światłem opasan.

Ach, obymż był ciemny i nocny! Jakżebym chciał ssać u piersi światła!

I wasbym nawet błogosławił, wy drobne gwiazdy

iskrzące i świetlaki w górze! — i być szczęśliwy waszymi darami świetlnymi.

Lecz żyję w własnem swem świetle, napowrót wchłaniam w siebie płomienie, co ze mną strzelają.

Nie znam szczęścia tego, który bierze; i często śniło mi się, że kraść jeszcze większem szczęściem być musi, niż brać.

W tem ubóstwo moje, że ręka moja nie wypoczywa nigdy od darowywania; w tem zawiść moja, że widzę oczy czekające i rozjaśnione noce tęsknoty.

Och, niedolo każdego, kto darowywa! Och, słońca mego zciemnienie! O pożądanie pożądania! O głodzie dziki w dosycie!

Biorą ode mnie: lecz dotykamże także ich duszy? Przepaść jest między dawaniem a braniem; a najmniejszą przepaść najtrudniej mostem przesklepić.

Głód wyrasta z piękności mojej: ból sprawiać chciałbym tym, którym świecę, ograbiać chciałbym swych obdarowanych — tak głodny jestem złości.

Cofam rękę, gdy już ręka ku niej się wyciąga; wodospadowi podobien, co jeszcze w spadku się waha: tak głodny jestem złości.

Taką zemstę knuje pełń moja, taka przekora wytryska z mej samotności.

Me szczęście w darowywaniu zmarło w darowywaniu, cnota moja znużyła się sama sobą przez nadmiar swój!

Kto zawsze darowywa, tego niebezpieczeństwem jest, że wstyd utraci; kto zawsze obdziela, tego dłoń i serce ma odciski od obdzielania ciągłego.

Oko moje nie wzbiera już rosą wobec wstydu

proszących i ręka moja za twarda się stała dla drżenia rąk napełnianych.

Gdzie podziała się łza oka mego i brzoskwiniowy puch mojego serca? O samotności wszystkich, którzy darowują! O milczenie wszystkich świecących!

Mnogo słońc krąży w pustych przestworach: do wszystkiego, co ciemne, mówią światłem swojem — dla mnie milczą.

Oto wrogość światła dla wszystkiego, co świeci: bezlitośnie krąży kolejami swemi.

Niesprawiedliwe w głębi serca dla wszystkiego, co świeci, zimne dla słońc — tak krąży każde słońce.

Podobne burzy krążą słońca kolejami swemi, za nieubłaganą wolą swą dążą, to jest ich chłód.

O wy to dopiero, wy ciemni i nocni, stwarzacie ciepło z tego, co świeci! O wy dopiero pijecie mleko i pokrzepienie z wymion światła!

Ach, lód wkoło mnie, rękę mą lód parzy! Ach, pragnienie we mnie spragnione waszego pragnienia.

Noc: ach, że też muszę być światłem! I pragnieniem tego, co jest nocne! I samotnością!

Noc: teraz, jak źródło, bije ze mnie pragnienie moje, — pragnę mówić.

Noc: teraz mówią głośniej wszystkie wodotryski. I dusza moja jest też wodotryskiem.

Noc: teraz budzą się pieśni wszystkich kochanków. I dusza moja jest także pieśnią kochanka. —«

8. Nigdy nie napisano, nie odczuto, nie przecierpiano rzeczy podobnej: tak cierpi bóg, Dyonizos. Odpowiedzią na taki dytyramb osamotnienia słonecznego w świetle byłaby Aryadna... Kto prócz

mnie wie, czem jest Aryadna!... Dla wszystkich takich zagadek nikt nie miał dotąd rozwiązania, wątpię czy tu ktokolwiek choćby tylko widział zagadkę. — Zaratustra określa raz surowo swoje zadanie — jest to i moje —, tak iż co do znaczenia pomylić się nie można: przyświadcza aż do usprawiedliwienia, aż do zbawienia także wszelkiej przeszłości.

»Chadzam wśród ludzi, jak wśród okruchów przyszłości: owej przyszłości, którą widzę.

I w tem tkwi moje tworzenie i dążenie, że skupiam w jedno i łączę, co jest okruchem i zagadką, i okropnym przypadkiem.

I jakbym zcierpiał być człowiekiem, gdyby człowiek także nie był twórcą i zgadywaczem zagadek, i zbawicielem przypadku?

Zbawić przeszłych i wszelkie »tak było« przetworzyć w »tak chciałem!« — to dopiero zwałoby się zbawieniem.«

Na innem miejscu określa jak najsurowiej, czem dla niego jedynie »człowiek« być może, — nie przedmiotem miłości lub zgoła współczucia — także wielkiego wstrętu do człowieka stał się Zaratustra panem: człowiek jest dlań bezkształtem, tworzywem, szpetnym kamieniem, który potrzebuje rzeźbiarza.

»Nie chcieć już, nie oceniać już, nie tworzyć już: obyż to wielkie znużenie zawsze zdaleka było ode mnie!

Także w poznaniu czuję jeno mojej woli rozkosz z płodzenia i stawania się; i jeśli niewinność jest w poznaniu mojem, to przeto, że wola pło-

dzenia w niem tkwi. Precz od Boga i bogów wywabiła mnie ta wola: Bo cóżby było do stworzenia, gdyby bogowie — istnieli?

Lecz do człowieka gna mnie wciąż na nowo moja żarliwa wola tworzenia, tak gna ona młot do kamienia.

Ach, ludzie, w kamieniu śpi mi posąg, posąg nad posągi! Ach, że też spać musi w najtwardszym, najszpetniejszym kamieniu!

Ninie szaleje mój młot okrutny przeciw jego więzieniu!

Od kamienia prószą odruzgi: mnie to nie wzrusza!

Ukończyć go chcę, bo przyszedł do mnie cień, — z wszech rzeczy najcichsza i najlżejsza przyszła ongi do mnie!

Nadczłowieka piękność jako cień przyszła do mnie: cóż mnie obchodzą jeszcze — bogowie!...«

Zaznaczam ostatni punkt widzenia: wiersz podkreślony daje powód do tego. Zadaniu dyonizyjskiemu właściwa jest w sposób rozstrzygający twardość młota, rozkosz nawet w niszczeniu, jako jeden z warunków uprzednich. Imperatyw »bądźcie twardzi!«, najgłębsza pewność, że wszyscy twórcy są twardzi, jest właściwą odznaką natury dyonizyjskiej.

POZA DOBREM I ZŁEM. PRZYGRYWKA DO FILOZOFII PRZYSZŁOŚCI. Zadanie lat następnych było zakreślone jak najściślej. Skoro zadanie moje w swej części przyświadczającej zostało rozwiązane, przyszła kolej na jego część przeczącą słowem, przeczącą czynem: przemiana dotychczasowych wartości samych, wielka wojna — wywołanie

dnia rozstrzygnięcia. Wchodzi tu również powolne rozglądanie się za pokrewnymi, za takimi, którzyby z głębi siły podali mi rękę do niszczenia. — Odtąd są pisma moje wędkami: może równie dobrze jak Ktoś umiem łowić na wędkę?... Jeśli się nic nie złowiło, to nie jam temu winien. Brakło ryb....

2. Książka ta (1886) jest we wszystkiem, co w niej istotne, krytyką nowoczesności, nie wyłączając nauk nowoczesnych, sztuk nowoczesnych, nawet polityki nowoczesnej, wraz ze wskazówkami co do typu przeciwnego, który tak mało, jak tylko być może, jest nowoczesny, typu dostojnego, przyświadczającego. W ostatniem znaczeniu jest ta książka szkołą dla *gentilhomme*, biorąc pojęcie to bardziej duchowo i radykalniej, niż kiedykolwiek je brano. Trzeba mieć odwagę w piersi, by je choćby tylko wytrzymać, trzeba nie umieć się bać... Wszystkie te rzeczy, z których stulecie jest dumne, odczute są jako sprzeczne z tym typem, jako złe maniery nieomal, sławna »przedmiotowość«, naprzykład, »współczucie z wszelkim cierpiącym«, »zmysł historyczny« z swoją uległością wobec obcego smaku, z swojem leżeniem na brzuchu przed wszystkimi *petits faits*, »naukowość«. — Jeśli się zważy, że książka ta następuje po Zaratustrze, to odgadnie się może także dyetetyczny *régime*, któremu swe powstanie zawdzięcza. Oko przez ogromne przyniewolenie nawykłe widzieć daleko — Zaratustra jest jeszcze większym dalekowidzem, niż car —, jest tu zmuszone ujmować bystro to, co najbliższe, czasowe, wkoło nas. Spostrzeże się pod

każdym względem, przedewszystkiem też w formie, jednaki samowolny odwrót od instynktów, które umożliwiły Zaratustrę. Wyrafinowanie w formie, w zamyśle, w sztuce milczenia stoi na pierwszym planie, psychologią włada się z jawną twardością i okrucieństwem, — książce zbywa na wszelkiem serdecznem słowie... Wszystko to daje wypocząć: któż zresztą odgadnie, jakiego rodzaju wypoczynku trzeba po takiem roztrwonieniu dobroci, jakiem jest Zaratustra?... Mówiąc teologicznie — słuchajcie, bo rzadko mówię jako teolog, — sam Bóg, ukończywszy swe dzieło dzienne, położył się jako wąż pod drzewem poznania: odpoczywał po tem, że jest Bogiem... Uczynił wszystko zbyt pięknie... Dyabeł jest tylko próżnowaniem Boga co siódmy dzień...

GENEALOGIA MORALNOŚCI. PISMO POLEMICZNE. Trzy rozprawy, z których ta Genealogia się składa, są może ze względu na wyraz, zamysł i sztukę czynienia niespodzianek, rzeczą najniesamowitszą, jaką napisano. Dyonizos jest, jak wiadomo, także bogiem ciemności. — Za każdym razem początek, który ma na manowce prowadzić, chłodny, naukowy, nawet ironiczny, umyślnie na pierwszym planie, umyślnie zwodzący. Stopniowo coraz więcej niepokoju; poszczególne błyskawice; bardzo niemiłe prawdy zdala odzywające się głuchym pomrukiem, — aż w końcu dochodzi do *tempo feroce*, gdzie wszystko gna naprzód z niezmiernem napięciem. Za każdym razem na zakończenie, wśród zgoła straszliwego huku, nowa prawda wśród gęstych widzialna chmur. — Prawdą pierwszej rozprawy jest psychologia chrześcijaństwa: narodziny chrześcijaństwa z ducha

ressentiment, nie zaś, jak się wierzy, z »ducha«, — w istocie swej ruch przeciwniczy, wielki bunt przeciw panowaniu dostojnych wartości. Rozprawa druga podaje psychologię sumienia: nie jest ono, jak się wierzy, »głosem boga w człowieku«, — lecz jest ono instynktem okrucieństwa, który zwraca się wstecz, nie mogąc się już wyładować na zewnątrz. Okrucieństwo, jako jedno z najstarszych i najmniej dających się zaprzeczyć podłoży kultury, tu pierwszy raz dobyto na światło. Rozprawa trzecia daje odpowiedź na pytanie, skąd pochodzi niesłychana potęga ideału ascetycznego, ideału kapłańskiego, chociaż jest on ideałem szkodliwym *par excellence*, wolą końca, ideałem *décadence*. Odpowiedź: nie dlatego, że Bóg poza kapłanami działa, jak się w to wierzy, lecz *faute de mieux*, — ponieważ był dotąd ideałem jedynym, ponieważ nie miał współzawodnika. »Gdyż człowiek woli raczej chcieć nicości, niż zgoła nie chcieć«... Przedewszystkiem brakło ideału przeciwnego — aż do Zaratustry. — Rozumiecie. Trzy rozstrzygające prace przygotowawcze psychologa, stworzonego do przemiany wszystkich wartości. — Książka ta podaje po raz pierwszy psychologię kapłana.

ZMIERZCH BOŻYSZCZ. JAK SIĘ FILOZOFUJE MŁOTEM. Pismo to o niespełna 150 stronach, pogodne i złowieszcze w tonie, śmiejący się demon —, dzieło tak nielicznych dni, że wstyd mi wymienić ich liczbę, jest wogóle wyjątkiem wśród książek: niema nic w treść bogatszego, bardziej niezawisłego, bardziej przewrotowego, — złośniejszego. Jeśli się chce wprost wyrobić sobie pojęcie o tem,

jak przede mną wszystko stało do góry nogami, to należy rozpocząć od tego pisma. Co na karcie naczelnej zwie się b o ż y s z c z e m, to poprostu to, co dotąd prawdą zwano. Z m i e r z c h b o ż y s z c z — po naszemu: stara prawda kona...

2. Niema zgoła rzeczywistości, zgoła »idealności«, którejby nie poruszono w tem piśmie (— poruszono: co za ostrożny eufemizm!...). Nietylko bożyszcza w i e c z n e, również i najmłodsze, przeto najsłabsze życiowo. Naprzykład »idee nowoczesne«. Wiatr silny dmie wśród drzew i wszędzie spadają owoce, — prawdy. Jest w tem marnotrawstwo nadmiernie bogatej jesieni: stopa potyka się o prawdy, zdeptuje nawet niektóre na śmierć — jest ich za dużo... Co jednak się w ręce dostanie, to nic już wątpliwego, to same rzeczy rozstrzygające. Ja dopiero mam miernik »wartości« w ręce, ja dopiero m o g ę rozstrzygać. Jak gdyby we mnie d r u g a ś w i a d o m o ś ć wyrosła, jak gdyby we mnie »wola« zapaliła sobie światło nad drogą p o c h y ł ą, którą dotąd w dół biegła. Tę drogę pochyłą zwano drogą do »prawdy«... Skończył się wszelki »ciemny popęd«, człowiek d o b r y najmniej właśnie świadom był drogi właściwej... I mówiąc z całą powagą, nikt przede mną nie znał drogi właściwej, drogi w z w y ż: wraz ze mną dopiero powstały znowu nadzieje, zadania, drogi, które należy zakreślić kulturze — ja jestem ich z w i a s t u n e m r a d o s n y m... Właśnie dlatego także jestem przeznaczeniem. —

3. Natychmiast po ukończeniu właśnie wymienionego dzieła i nie tracąc nawet dnia czasu, za-

brałem się do niezmiernego zadania przemiany wartości, z królewskiem uczuciem dumy, któremu nic zrównać nie może, każdej chwili pewny swej nieśmiertelności i znak za znakiem, z pewnością przeznaczenia, w spiżowej ryjąc tablicy. Przedmowa powstała 3 września 1888: kiedym rano, napisawszy ją, wyszedł na powietrze, ujrzałem przed sobą dzień najpiękniejszy, jakiego mi nigdy Engadyna Wyżnia nie ukazywała — przeźroczy, płonący barwami, mieszczący w sobie wszystkie kontrasty i przejścia między lodem i południem. — Dopiero 20 września opuściłem Sils-Maria, powstrzymywany przez powodzie, wreszcie ostatni zgoła gość cudownej miejscowości, której wdzięczność moja dać pragnie w darze imię nieśmiertelne. Po podróży z przypadkami w drodze, nawet z niebezpieczeństwem życia w zalanem powodzią Como, do którego późną dopiero dostałem się nocą, przybyłem w południe dnia 21 do Turynu, tej d o w i e d z i o n e j dla mnie miejscowości, odtąd siedziby mojej. Najałem to samo mieszkanie, które zajmowałem na wiosnę, przy via Carlo Alberto 6. III., naprzeciw potężnego palazzo Carignano, w którem urodził się Vittorio Emanuele, z widokiem na piazza Carlo Alberto, a w dali na wzgórza. Bez wahania i ani na chwilę nie zwłócząc, wziąłem się znów do pracy: pozostawała jeszcze tylko czwarta część do zrobienia. Dnia 30 września wielkie zwycięstwo; dzień siódmy; próżnowanie Boga wzdłuż Padu. Tego samego dnia napisałem jeszcze p r z e d m o w ę do Z m i e r z c h u b o ż y s z c z; korygowanie drukowanych jego arkuszy było we wrześniu mym wypoczynkiem. — Nie przeżyłem nigdy takiej jesieni, ani też nigdy czegoś podobnego nie uważałem za możliwe

na ziemi, — jakiś Claude Lorrain do nieskończoności pomyślany, każdy dzień o jednakiej, ogromnej doskonałości. —

SPRAWA WAGNERA. PROBLEMAT MUZYKANTÓW. By sprawiedliwym być dla tego pisma, trzeba cierpieć z powodu losu muzyki, jak skutkiem otwartej rany. — Skutkiem czego cierpię, cierpiąc z powodu losu muzyki? Z powodu tego, że pozbawiono muzyki jej przejaśniającego świat, przyświadczającego charakteru, — że jest ona muzyką *décadence*, a już nie fletnią Dyonizosa... Przypuszczając jednak, że odczuwa się w ten sposób sprawę muzyki, jako swoją własną sprawę, jako dzieje swego własnego cierpienia, to uzna się to pismo pełnem względów i ponadmiar łagodnem. W takich wypadkach być pogodnym i dobrodusznie kpić z siebie pospołu — *ridendo dicere severum*, gdzie *verum dicere* usprawiedliwiłoby wszelką twardość — jest ludzkością istotną. Któż wątpi właściwie, że jako stary artylerzysta, którym jestem, umiałbym przeciw Wagnerowi wytoczyć ciężkie działo? — Wszystko, co rozstrzygające w tej sprawie, zachowałem w sobie — kochałem Wagnera. — Ostatecznie w myśli i na drodze mego zadania leży atak na subtelniejszego »Nieznanego«, którego nie łatwo kto inny odgadnie, — o, mam jeszcze zgoła innych »nieznanych« do odkrycia, niż Cagliostro muzyki — oczywiście bardziej jeszcze atak na coraz w rzeczach duchowych leniwszy i w instynkt uboższy, coraz bardziej poczciwiejący naród niemiecki, który z pozazdroszczenia godnym apetytem nie ustaje żywić się sprzecznościami i połyka bez trudności tra-

wienia zarówno »wiarę«, jak naukowość, zarówno wolę mocy (»państwa«), jak *évangile des humbles*. Ten brak stronniczości wśród przeciwieństw! Ta żołądkowa neutralność i »bezosobistość«! Ten sprawiedliwy zmysł podniebienia niemieckiego, który wszystkiemu równe daje prawa, — któremu wszystko smakuje... Nie ulega wątpliwości, Niemcy to idealiści... Kiedym ostatni raz bawił w Niemczech, zauważyłem, że smak niemiecki stara się równe przyznać prawa Wagnerowi i Trębaczowi z Säkkingen; sam byłem świadkiem, jak w Lipsku na cześć jednego z najszczerszych i najbardziej niemieckich muzyków, niemieckiego w starem słowa znaczeniu, nie zaś państwowego Niemca tylko, mistrza Henryka Schütza, założono towarzystwo imienia Liszta, w celu uprawiania i rozpowszechniania lisiej*) muzyki kościelnej... Nie ulega wątpliwości, Niemcy to idealiści...

2. Lecz tutaj nic mi nie przeszkodzi, być grubijańskim i rzec Niemcom kilka twardych słów prawdy: któż inny to uczyni? — Mówię o ich wszeteczeństwie *in historicis*. Historycy niemieccy nietylko że zatracili zgoła wielkość spojrzenia na bieg, na wartości kultury, nietylko że są błaznami polityki (lub Kościoła —): wyklęli nawet tę wielkość spojrzenia. Trzeba być wpierw »niemieckim«, być »rasą«, potem można rozstrzygać o wszystkich wartościach i bezwartościach *in historicis* — ustanawiać je... »Niemieckość« jest argumentem, »Niemcy, Niemcy ponad wszystko« zasadą, Ger-

*) W oryginale gra słów: *listige Kirchenmusik*.

manowie są »porządkiem moralnym świata« w dziejach; w stosunku do *imperium romanum* przedstawicielami wolności, w stosunku do wieku ośmnastego przywrócicielami moralności, »imperatywu kategorycznego«... Istnieje państwowo niemieckie dziejopisarstwo, lękam się, że istnieje nawet antysemickie, — istnieje dziejopisarstwo dworskie i pan von Treitschke się nie wstydzi... Niedawno pewne zdanie idyoty *in historicis*, zdanie zgasłego na szczęście estetycznego Szwaba Vischera, obiegło czasopisma niemieckie, jako »prawda«, której Niemiec każdy przyświadczyć musi: »Renesans *i* reformacya, oboje razem tworzą dopiero całość — odrodzenie estetyczne i odrodzenie obyczajowe«. — Wobec zdań takich kończy się moja cierpliwość i czuję ochotę, uważam nawet za obowiązek, powiedzieć Niemcom wszystko, co mają na sumieniu. Wszystkie wielkie zbrodnie kulturalne czterech stuleci mają na sumieniu!... I zawsze z tego samego powodu, z najwnętrzniejszego przed rzeczywistością tchórzostwa, które jest także tchórzostwem przed prawdą, ze zmienionej u nich w instynkt nieprawdziwości, z »idealizmu«... Niemcy pozbawili Europę żniwa, sensu ostatniego wielkiego okresu, okresu Odrodzenia, w chwili, kiedy wyższy porządek wartości, kiedy wartości dostojne, życiu przyświadczające, przyszłość poręczające osiągnęły w siedzibie wartości przeciwnych, wartości upadku, zwycięstwo — i aż w głąb instynktu tych, co tam siedzieli! Luter, ten mnich złowieszczy, przywrócił kościół i, co po tysiąckroć gorsze, chrześcijaństwo z chwilą, gdy ono ulegało... Chrześcijaństwo, to w religię wcielone zaprzeczenie

woli życia... Luter, mnich niemożliwy, który z powodu swej »niemożliwości« na Kościół napadł — i — przeto! — go przywrócił... Katolicy mieliby powody święcić uroczystości lutrowe, pisać widowiska lutrowe... Luter — i »odrodzenie obyczajowe«! Do dyabła z wszelką psychologią! Bez wątpienia, Niemcy to idealiści. — Gdy z niesłychaną dzielnością i przezwyciężeniem siebie osiągnięto właśnie rzetelny, niedwuznaczny, doskonale naukowy sposób myślenia, Niemcy umieli dwa razy znaleźć drogi chyłkowe do starego »ideału«, pojednanie między prawdą a ideałem, formuły na prawo odrzucenia wiedzy, na prawo do kłamstwa. Leibniz i Kant — te dwa największe hamulce intelektualnej rzetelności Europy! — Kiedy wreszcie na moście między dwoma stuleciami *décadence* zjawiła się *force majeure* geniuszu i woli, dość silna do stworzenia z Europy jedności, jedności politycznej i gospodarczej, w celu opanowania ziemi, Niemcy przez swoje »wojny o wolność«, pozbawili Europę sensu, cudownego sensu w istnieniu Napoleona, — mają przeto wszystko, co nastąpiło, co dziś istnieje, na sumieniu, tę najprzeciwniejszą kulturze chorobę, i niedorzeczność, jaka istnieje, nacyonalizm, tę *névrose nationale*, na którą Europa chorzeje, to uwiecznienie drobnopaństewkowości europejskiej, małej polityki: pozbawili Europę nawet jej sensu, jej rozumu — zawlekli ją w ulicę bez wyjścia. — Czy zna kto, oprócz mnie, wyjście z tej ulicy?... Zadanie, dość wielkie, złączenia na nowo ludów Europy?...

3. I w końcu, czemużbym podejrzeniu memu nie miał dać dojść do głosu? Niemcy także w moim

wypadku będą się starać, by z olbrzymiego przeznaczenia porodzić mysz. Aż dotąd kompromitowali się wobec mnie, wątpię, by coś lepszego robili w przyszłości. — Ach, jakżebym pragnął, być tutaj złym prorokiem!... Naturalnymi czytelnikami i słuchaczami mymi są już dzisiaj Rosyanie, Skandynawowie, Francuzi, — będąż oni nimi coraz bardziej? — Niemcy zapisali się w dziejach poznania samemi nazwiskami dwuznacznemi, wydawali zawsze tylko »bezwiednych« fałszerzy monet (— Fichtemu, Schellingowi, Schopenhauerowi, Heglowi, Schleiermacherowi przystoi to słowo równie, jak Kantowi i Leibnizowi; oni wszyscy to tylko tkacze zasłon* —): nie dostąpią nigdy zaszczytu, by pierwszy w dziejach ducha duch rzetelny, duch, w którym prawda odbywa sąd nad czterema stuleciami, zaliczał się do jedności z duchem niemieckim. Duch niemiecki jest mojem złem powietrzem; oddycham ciężko w pobliżu tej w instynkt zmienionej niechlujności *in psychologicis*, którą zdradza każde słowo, każda mina Niemca. Nie przeszli nigdy przez żaden siedmnasty wiek twardej próby samych siebie, jak Francuzi, — La Rochefoucauld, Descartes, są stokroć w rzetelności wyżsi od najpierwszych Niemców, — nie mieli do dziś dnia zgoła psychologa. Lecz psychologia jest niemal miernikiem czystości lub nieczystości rasy... I gdy się nawet czystym nie jest, jakże być można głębokim? U Niemca, prawie jak u kobiety, nie dosięga się nigdy dna, niema go: oto wszystko. Lecz przez to nie jest się jeszcze nawet płytkim. — Co w Niemczech zwie się »głębokiem«,

*) W oryginale gra słów: *es sind alle blosse Schleiermacher.*

to właśnie tę instynktowną względem siebie niechlujność, o której tutaj mówię: nie chce się sobie jasno zdawać sprawy z siebie. Nie wolnożby mi tego słowa »niemieckość« przedstawić jako międzynarodowej monety dla tego psychologicznego znikczemnienia? — W tej chwili naprzykład nazywa cesarz niemiecki swym »obowiązkiem chrześcijańskim« uwolnienie niewolników w Afryce: u nas innych Europejczyków zwałoby się to poprostu »niemieckiem«... Wydaliż Niemcy choćby jedną książkę, która głąb posiada? Brak im nawet pojęcia, co jest w książce głębokie. Poznałem uczonych, którzy Kanta uważali za głębokiego; lękam się, że na dworze pruskim uważa się za głębokiego pana von Treitschke. A gdym przy sposobności sławił Stendhala, jako głębokiego psychologa, zdarzało mi się z niemieckimi profesorami wszechnicy, że kazali mi sylabizować nazwisko...

4. I czemużbym nie miał dojść do końca? Lubię stół uprzątać. Wchodzi nawet w skład mej ambicyi, uchodzić za gardzącego Niemcami *par excellence.* Nieufność swą co do charakteru niemieckiego wyraziłem już w dwudziestym szóstym roku życia (trzecie Niewczesne Rozmyślanie str. 71). — Niemcy są dla mnie niemożliwi. Jeśli wyobrażam sobie rodzaj człowieka, który idzie na wspak moim wszystkim instynktom, to zawsze wyjdzie z tego Niemiec. Pierwszą rzeczą, na której podstawie »doświadczam nerek« człowieka jest to, czy posiada w krwi poczucie odległości, czy widzi wszędzie rangę, stopień, odstęp między człowiekiem i człowiekiem, czy rozróżnia: tem się cechuje *gentilhomme;* w każdym przeciwnym razie wcho-

dzi się bez ratunku w serdeczne, ach! tak dobroduszne pojęcie *canaille*. Lecz Niemcy są *canaille* — ach, są tak dobroduszni... Obcowanie z Niemcami poniża: Niemiec stawia na równi... Pominąwszy stosunek mój z kilkoma Niemcami, przedewszystkiem z Ryszardem Wagnerem, nie przeżyłem z Niemcami żadnej dobrej godziny... Przypuszczając, że najgłębszy duch wszech tysiącoleci zjawiłby się wśród Niemców, to byle zbawicielka Kapitolu mniemałaby, że jej niepiękna dusza wchodzi conajmniej tak samo w rachubę... Nie znoszę tej rasy, z którą razem będąc, jest się zawsze w złem towarzystwie, która nie ma palców dla *nuances* — biada mi! jestem *nuance* —, która nie ma w nogach *esprit* i nawet chodzić nie umie... Niemcy nie mają w końcu zgoła nóg, mają tylko stępory... Niemcom brak całkowicie pojęcia, jakimi są prostakami, lecz to jest najwyższy stopień prostactwa, — nie wstydzą się nawet być tylko Niemcami... Zabierają głos we wszystkiem, uważają się nawet za rozstrzygających, lękam się, że nawet o mnie rozstrzygnęli... Całe życie moje jest dowodem *de rigueur* tych twierdzeń. Napróżno szukam w niem jednego znaku taktu, *délicatesse* względem siebie. Ze strony Żydów — tak, nigdy jeszcze ze strony Niemców. Z natury swej jestem dla każdego łagodny i życzliwy — mam prawo nie czynić zgoła różnicy —: to nie przeszkadza mi mieć otwartych oczu. Nie wyłączam nikogo, najmniej swoich przyjaciół, — mam zresztą nadzieję, że to ludzkości mojej względem nich nie uczyniło uszczerbku! Istnieje pięć, sześć rzeczy, które dla mnie były zawsze sprawą honoru. — Mimo to pozostaje prawdą, że prawie każdy list, który od lat mnie dochodzi,

odczuwam jako cynizm: jest więcej cynizmu w życzliwości dla mnie, niż w jakiejkolwiek nienawiści... Powiem każdemu z przyjaciół mych w twarz, że nie uważali nigdy za dość godne trudu studyować którekolwiek z pism moich: odgaduję po drobnych znakach, że nie wiedzą nawet, co w nich stoi. Zwłaszcza co się tyczy mego Zaratustry. Któż z mych przyjaciół widział w nim więcej, niż niedozwoloną, na szczęście zgoła obojętną zarozumiałość?... Dziesięć lat: a nikt w Niemczech nie uważał sobie za obowiązek sumienia bronić nazwiska mego przeciw niedorzecznemu milczeniu, pod którem pogrzebane było: dopiero cudzoziemiec, Duńczyk, miał na to dość subtelności instynktu i odwagi, oburzył się na mych rzekomych przyjaciół... Na którejże wszechnicy niemieckiej byłyby dziś możliwe odczyty o mojej filozofii, jak je ostatniej wiosny wygłaszał w Kopenhadze jeszcze raz przez to dowiedziony psycholog, dr. Jerzy Brandes? — Ja sam nie cierpiałem nigdy z powodu tego wszystkiego; co konieczne, nie dotyka mnie; *amor fati* jest moją najwnętrzniejszą naturą. To jednak nie wyklucza, że lubię ironię, nawet ironię wszechdziejową. I dlatego na dwa lata przed miażdżącym gromem Przemiany wartości, który ziemię wprawi w konwulsyę, wysłałem w świat »Sprawę Wagnera«: niechże się Niemcy raz jeszcze nieśmiertelnie co do mnie pomylą i uwiecznią! właśnie czas jeszcze na to! — Dopiętoż tego? — Zachwycająco, moi panowie Germanie! Winszuję panom...

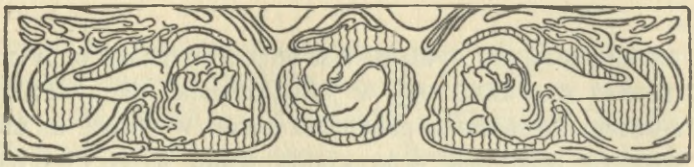

DLACZEGO JESTEM PRZEZNACZENIEM.

Znam swój los. Kiedyś przylgnie do imienia mego wspomnienie czegoś potwornego, — przesilenia, jakiego zgoła nie było na ziemi, najgłębszego starcia się sumień, rozstrzygnięcia wywołanego p r z e c i w wszystkiemu, w co dotąd wierzono, czego żądano, co uświęcono. Jam zgoła nie człowiek, jam dynamit. — A przy tem wszystkiem niema we mnie nic z założyciela religii — religie to sprawy motłochu, po zetknięciu się z ludźmi religijnymi muszę myć sobie ręce... Nie c h c ę »wiernych«, sądzę, że jestem za złośliwy, by w samego siebie wierzyć, nie mówię nigdy do tłumów... Straszliwy lęk mnie zbiera, że pewnego dnia ogłoszą mnie ś w i ę t y m; zgadniecie, dlaczego książkę tę p r z e d t e m wydaję; ma przeszkodzić, by nie dopuszczono się względem mnie zdrożności... Nie chcę być świętym, raczej jeszcze błaznem jarmarcznym... Może jestem błaznem... A mimo to, lub raczej n i e mimo to — bo nie było dotąd nic kłamliwszego nad świętych — przemawia ze mnie

prawda. — Lecz moja prawda jest straszna: bo dotąd zwano kłamstwo prawdą. — »Przemiana wszystkich wartości«: oto moja formuła na akt najwyższego opamiętania się ludzkości, który stał się we mnie ciałem i geniuszem. Los mój chce, że muszę być pierwszym człowiekiem przyzwoitym, że czuję się przeciwieństwem kłamliwości tysiącoleci. Ja pierwszy prawdę odkryłem przez to, że pierwszy kłamstwo jako kłamstwo odczułem — zwąchałem... Geniusz mój tkwi w nozdrzach... Przeczę, jak nie przeczono nigdy, a mimo to jestem przeciwieństwem ducha zaprzeczającego. Jestem zwiastunem radosnym, jakiego nie było, znam zadania tak wyżynne, że brakło dotąd dla nich pojęcia; dopiero ze mną powstały znowu nadzieje. Przy tem wszystkiem jestem z konieczności także człowiekiem złowieszczym. Bowiem gdy prawda zetrze się z kłamstwem tysiącoleci, nastąpią przewroty, zatrzęsie się ziemia, przeniosą się góry i doliny, że nawet o czemś podobnem nie śniono. Pojęcie polityki rozpłynie się wówczas całkiem w wojnie duchów, wszystkie potężne twory starej społeczności wysadzone zostaną w powietrze — wszystkie spoczywają na kłamstwie: nastaną wojny, jakich jeszcze nie było na ziemi. Dopiero ode mnie poczyna się na ziemi wielka polityka. —

2.

Chcecież formuły, na takie przeznaczenie, które człowiekiem się staje? — Znajduje się ona w mym Zaratustrze.

»— a kto chce twórcą być w dobrem i złem, musi być wpierw niszczycielem i kruszyć wartości.

Tak więc największe zło jest właściwe największej dobroci: ta jednak jest dobrocią twórczą«.

Jestem zgoła najstraszniejszym człowiekiem, jaki dotąd istniał; to nie wyklucza, że będę najdobroczynniejszym. Znam rozkosz niszczenia w stopniu, który odpowiada mej sile niszczenia — w jednem i drugiem słucham swej natury dyonizyjskiej, która nie umie oddzielać przeczenia czynem od przyświadczania słowem. Jestem pierwszym immoralistą: przeto jestem niszczycielem *par excellence*. —

3.

Nie pytano mnie, a trzeba było mnie pytać, co właśnie w moich ustach, w ustach pierwszego immoralisty, znaczy imię Zaratustra: to bowiem, co owego Persa czyni niesłychanie wyjątkowym w dziejach, jest właśnie tego przeciwieństwem. Zaratustra spostrzegł pierwszy w walce dobra i zła właściwą sprężynę w kołowrocie rzeczy, — przetłumaczenie moralności na metafizykę, jako siły, przyczyny, celu samego w sobie, jego jest dziełem. Lecz pytanie to byłoby w gruncie już odpowiedzią. Zaratustra stworzył tę najbardziej złowieszczą pomyłkę, moralność: przeto też musi być pierwszym, który ją poznaje. Nietylko dlatego, że ma w tym względzie doświadczenie dłuższe i większe, niż inny myśliciel — całe dzieje

są przecie doświadczalnem obalaniem twierdzenia o tak zwanym »porządku moralnym świata« —: ważniejsza to, że Zaratustra jest prawdziwszy, niż jakikolwiek inny myśliciel. Nauka jego, i tylko ona posiada, jako najwyższą cnotę, prawdziwość — to znaczy przeciwieństwo tchórzostwa »idealisty«, który ucieka przed rzeczywistością; Zaratustra ma więcej waleczności w piersi, niż wszyscy myśliciele razem wzięci. Mówić prawdę i dobrze godzić strzałami, oto cnota perska. — Rozumiecie mnie?... Samoprzezwyciężenie moralności z prawdziwości, przedzierzgnięcie się moralisty w jego przeciwieństwo — we mnie — oto co znaczy w mych ustach imię Zaratustry.

4.

W gruncie rzeczy słowo immoralista dwa w sobie mieści przeczenia. Zaprzeczam po pierwsze typu człowieka, który dotąd za najwyższy uchodził, dobrych, życzliwych, dobroczynnych; po wtóre zaprzeczam rodzaju moralności, który jako moralność sama w sobie doszedł do znaczenia i panowania, — moralności *décadence*, by rzec dotykalniej, moralności chrześcijańskiej. Wolnoby drugie przeczenie za bardziej rozstrzygające poczytać, gdyż przecenianie dobra i życzliwości, ogółem biorąc, uważam już za skutek *décadence*, jako objaw słabości, jako niezgodność z życiem wzmagającem się i przyświadczającem: w przyświadczaniu jest zaprzeczanie i niszczenie warunkiem. — Zabawię teraz przy

psychologii człowieka dobrego. By ocenić, ile wart pewien typ człowieka, trzeba obliczyć cenę, której wymaga jego utrzymanie, — trzeba znać warunki jego istnienia. Warunkiem istnienia człowieka dobrego jest kłamstwo —: wyrażając się inaczej, to, że za wszelką cenę nie chce widzieć, jaka jest w gruncie rzeczywistość, to znaczy, nie taka, by każdej chwili wyzywać instynkty życzliwe, tem mniej, by znosić każdej chwili wtrącanie się krótkowzrocznych, dobrodusznych rąk. Uważanie nędz wszelkiego rodzaju ryczałtem za zarzut, za coś, co usunąć trzeba, to *niaiserie par excellence*, na ogół prawdziwe zło w skutkach, głupota już przeznaczeniem będąca, — nieomal taka głupota, jakąby była wola usunięcia niepogody — z litości niby dla ludzi biednych... W wielkiej gospodarce całości jest wszystko, co strasznego rzeczywistość mieści (w uczuciach, w pożądaniach, w woli mocy), w nieobliczalnej mierze potrzebniejsze, niż owa forma małego szczęścia, tak zwana »dobroć«; trzeba nawet być względnym, by tej ostatniej, jako wynikającej z instynktownej kłamliwości, wogóle miejsca użyczyć. Będę miał ważny powód wykazać na całych dziejach niesamowite nad wszelką miarę skutki optymizmu, tego wyrodka *hominum optimorum*. Zaratustra, który pierwszy pojął, że optymista jest tak samo *décadent*, jak pesymista, a może szkodliwszym, mówi: »Ludzie dobrzy nie mówią nigdy prawdy. Fałszywych wybrzeży i przystani nauczyli was dobrzy. W kłamstwach ludzi dobrych wyście się zrodzili i skryli. Wszystko jest do dna kłamliwe i krzywe przez dobrych«. Świat nie jest na szczęście zbudowany na takich instynktach, by właś-

nie tylko dobroduszne bydło stadne znalazło w nim ciasne swe szczęście. Żądać, by wszystko stało się »człowiekiem dobrym«, bydlęciem stadnem, czemś błękitnookiem, życzliwem, »duszą piękną« — lub, jak pan Herbert Spencer sobie życzy, czemś altruistycznem, znaczyłoby ludzkość skastrować i sprowadzić do mizernej chińszczyzny. — A to właśnie usiłowano... To właśnie zwano moralnością... W tem znaczeniu zwie Zaratustra dobrych już to »ludźmi ostatnimi«, już to »początkiem końca«; przedewszystkiem odczuwa ich jako rodzaj człowieka najszkodliwszy, gdyż wiodą żywot tak samo ze szkodą prawdy, jak i ze szkodą przyszłości.

— Dobrzy nie umieją tworzyć, są zawsze końca początkiem —

— na krzyż wbijają tego, kto nowe wartości na nowych pisze tablicach, składają sobie w ofierze przyszłość, na krzyż wbijają wszelką przyszłość człowieczą!

— Dobrzy — ci byli zawsze końca początkiem...

— I jakąkolwiekby szkodę sprawiali świata oczerniciele, to szkoda dobrych jest szkodą najszkodliwszą«.

5.

Zaratustra, pierwszy psycholog dobrych, jest — przeto — przyjacielem złych. Jeżeli ludzie rodzaju *décadence* wspięli się na stopień rodzaju najwyższego, to mogło się to stać tylko ze szkodą rodzaju im prze-

ciwnego, silnego i życiowo pewnego rodzaju ludzi. Jeśli zwierzę stadne promienieje blaskiem najczystszej cnoty, to człowiek wyjątkowy musi być zniżony w wartości do rzędu człowieka złego. Jeśli kłamliwość za wszelką cenę przywłaszcza sobie dla optyki swojej słowo »prawda«, to istotnie prawdziwego musi się pod najlichszemi odnajdywać mianami. Zaratustra nie pozostawia tu zgoła wątpliwości: powiada, że to właśnie poznanie dobrych, »najlepszych«, przejmowało go zgrozą na widok człowieka, że z tego wstrętu wyrosły mu skrzydła, by »precz ulecieć w dalekie przyszłości«, — nie kryje tego, że jego typ człowieka, typ względnie nadludzki, jest właśnie w stosunku do dobrego nadludzkim, że dobrzy i sprawiedliwi nazwaliby jego nadczłowieka dyabłem...

»Wy ludzie najwyżsi, jakich me oko spotkało, to jest wątpieniem mem o was i tajnym mym śmiechem: zgaduję, że nadczłowieka zwalibyście — dyabłem!

Tak obce są dusze wasze wielkości, że straszny wam byłby nadczłowiek w dobroci swej...«

W tem miejscu, a nie gdzieindziej trzeba oprzeć stopę, by zrozumieć, czego chce Zaratustra: Ten rodzaj człowieka, który on pomyślał, pojmuje rzeczywistość tak, jaką jest: dość silny jest na to —, nie stał się jej obcy, daleki, jest nią samą, ma także jeszcze w sobie wszystko, co w niej strasznego i zagadkowego, dopiero z tem może człowiek być wielki...

6.

Lecz w innem też jeszcze znaczeniu obrałem sobie słowo immoralista jako oznakę, jako odznakę zaszczytną; dumny jestem z posiadania tego słowa, które mnie odcina od całej ludzkości. Nikt jeszcze nie czuł moralności chrześcijańskiej, jako czegoś pod sobą: na to trzeba było wyżyny, dalekiego spojrzenia, zgoła niesłychanej dotąd głębi i bezdenności psychologicznej. Moralność była dotąd Cyrce wszystkich myślicieli, — byli oni u niej na służbie. — Kto zstąpił w te jaskinie, z których bije jadowite tchnienie tego rodzaju ideału — oczernicielstwa świata! — przede mną? Kto choćby tylko przeczuwać się ważył, że istnieją jaskinie? Któryż przede mną zresztą z filozofów był psychologiem, a nie przeciwieństwem jego raczej, »wyższym oszustem«, »idealistą«? Nie było jeszcze przede mną zgoła psychologii. — Tutaj być pierwszym może być przekleństwem, jest w każdym razie przeznaczeniem: bo pogardza się także jako pierwszy... Wstręt do człowieka jest mem niebezpieczeństwem...

7.

Zrozumianoż mnie? — Co mnie odgranicza, co na uboczu mnie stawia w stosunku do całej ludzkości, to odkrycie moralności chrześcijańskiej. Przeto potrzeba mi było słowa, mającego znaczenie wyzwania wszystkich. Że tu już pierwej

nie otwarto oczu, to uważam za największe niechlujstwo, jakie ludzkość ma na sumieniu, jako samooszustwo w instynkt zmienione, jako zasadniczą wolę nie widzenia wszelkiego stawania się, wszelkiej przyczynowości, wszelkiej rzeczywistości, jako fałszerstwo monet *in psychologicis* aż do występku. Ślepota w stosunku do chrześcijaństwa jest występkiem *par excellence* przeciw życiu... Tysiącolecia, ludy, pierwsi i ostatni, filozofowie i stare baby — potrącając pięć, sześć chwil dziejowych, mnie jako siódmą — są wszyscy na tym punkcie siebie wzajem godni. Chrześcijanin był dotąd samą »istotą moralną«, osobliwością nieporównaną — a jako »istota moralna« niedorzeczniejszy, kłamliwszy, próżniejszy, lekkomyślniejszy, samemu sobie szkodliwszy, niżby śnić się to mogło największemu nawet gardzicielowi ludzkości. Moralność chrześcijańska — to najzłośliwsza forma woli kłamstwa, właściwa Cyrce ludzkości: to, co ludzkość zepsuło. To nie błąd, jako błąd, przeraża mnie na ten widok, nie tysiącoletni brak »dobrej woli«, »hodowli«, »przystojności», «waleczności« w rzeczach duchowych, zdradzający się w jego zwycięstwie: — lecz brak natury, lecz zgoła okropny stan rzeczy, że sama przeciwnaturalność doznawała jako moralność najwyższych zaszczytów i jako prawo, jako kategoryczny imperatyw zawisła nad ludzkością!... Do tego pomylić się stopnia, nie jako jednostka, nie jako naród, lecz jako ludzkość!... Że też pogardzać uczono najpierwszymi instynktami życia, że też aż skłamano »duszę«, »ducha«, by pohańbić ciało, że też w założeniu życia, w miłości płciowej, uczy się odczuwać coś nieczystego, że też w najgłębszej konieczności

rozwoju, w surowem samolubstwie (— samo to słowo jest już oszczercze! —) szuka się złego pierwiastku; że też naodwrót w typowych oznakach upadku, w sprzeciwianiu się instynktowi, w »bezosobistości«, w postradaniu ciężaru swego, w »zaparciu się siebie« i »miłości bliźniego« (— żądzy bliźniego) widzi się wartość wyższą, co mówię! wartość samą w sobie!... Jak to! ulegałażby ludzkość sama *décadence?* ulegałażby jej zawsze? — To pewna, że uczono ją tylko wartości *décadence*, jako wartości najwyższych. Moralność wyzucia się z siebie jest moralnością upadku *par excellence*, fakt »ginę« przetłumaczony na imperatyw: »winniście wszyscy ginąć« — i nie tylko na imperatyw!... Ta jedyna moralność, której dotąd uczono, moralność wyzucia się z siebie, zdradza wolę końca, neguje najgłębsze podstawy życia. — Tu powstawałaby możliwość, że nie ludzkość wyrodnieje, lecz tylko ów pasorzytniczy rodzaj ludzi, rodzaj kapłański, który po grzbiecie moralności wspiął się kłamliwie na stopień ustanowicieli jej wartości, — który w moralności chrześcijańskiej odgadł swoje narzędzie mocy... I w rzeczy samej tak ja rozumiem: nauczyciele, przewodnicy ludzkości, teologowie, byli wszyscy razem też *décadents:* stąd przemiana wszystkich wartości na wrogość względem życia, stąd moralność... Określenie moralności: moralność — to idyosynkrazya *décadent*'ów, z ukrytą myślą zemszczenia się na życiu —, *i* z powodzeniem. Przywiązuję wagę do tego określenia.

8.

Zrozumianoż mnie? — Nie rzekłem tu zgoła słowa, któregobym już nie wyrzekł przed pięciu laty przez usta Zaratustry. Odkrycie moralności chrześcijańskiej jest zdarzeniem, które nie ma sobie równego, prawdziwą katastrofą. Kto o niej głosi, jest *force majeure*, przeznaczeniem, — przełamuje dzieje ludzkości na dwie części. Żyje się przed nim, żyje się po nim... Piorun prawdy ugodził właśnie w to, co wznosiło się dotąd najwyżej: kto pojmuje, co tu zniszczono, niech spojrzy, czy ma wogóle jeszcze coś w rękach. Co dotąd »prawdą« się zwało, poznano jako najszkodliwszą, najprzebieglejszą, najpodziemniejszą formę kłamstwa; święty pozór »polepszania« ludzkości, jako chytrość, by wyssać samo życie, wypić zeń krew. Moralność jako wampiryzm... Kto odkrył moralność, odkrył zarazem bezwartość wszystkich wartości, w które się wierzy lub wierzono; w najbardziej czczonych, nawet świętymi ogłoszonych typach człowieka, nie widzi już nic czcigodnego, widzi w nich najbardziej złowieszczy rodzaj wyrodków, złowieszczy, bo oczarowywały... Pojęcie »boga« wynaleziono jako przeciwieństwo pojęcia życia, — wszystko, co szkodliwe, trujące, oszczercze, całą śmiertelną wrogość względem życia, zebrano w nim w przerażającą jedność! Pojęcie »zaświata«, »świata prawdziwego« wynaleziono, by pozbawić wartości świat jedyny, jaki mamy, — by żadnego celu, rozumu, zadania nie pozostawić dla naszej rzeczywistości ziemskiej! Pojęcie »duszy«, »ducha«, w końcu zwłaszcza jeszcze »duszy nieśmier-

telnej« wynaleziono, by pogardzać ciałem, by je uczynić chorem — »świętem«, by wszystkim rzeczom, które na powagę w życiu zasługują, zagadnieniom pożywienia, mieszkania, dyety duchowej, pielęgnowania chorych, schludności, pogody przeciwstawić straszliwą lekkomyślność! Zamiast zdrowia »zbawienie duszy« — to znaczy *une folie circulaire* między spazmem pokutnym i histeryą zbawienia! Pojęcie »grzechu« wynaleziono wraz z przynależnem narzędziem tortury, pojęciem »wolnej woli«, by zakłócić instynkty, by nieufność względem instynktów uczynić drugą naturą! W pojęciu »bezosobistości«, »zaparcia się siebie«, właściwa oznaka *décadence*, lecenie na lep szkodliwości, niemożność znalezienia już swego pożytku, samozagłada, uczynione znakiem wartości wogóle, »obowiązkiem«, »świętością«, »boskością« w człowieku! W końcu — co najstraszniejsze — pojęcie człowieka dobrego stanęło po stronie wszystkiego, co słabe, chore, nieudane, z powodu siebie cierpiące, wszystkiego, co zginąć powinno —, pokrzyżowało prawo doboru, podniosło do ideału walkę przeciwko człowiekowi dumnemu i udanemu, przyświadczającemu, pewnemu przyszłości, przyszłość poręczającemu — ten zwie się odtąd złym... I w to wszystko wierzono, jako w moralność! — *Ecrasez l'infâme!* — —

9.

Zrozumianoż mnie? — Dyonizos przeciw Ukrzyżowanemu...

SŁAWA I WIECZNOŚĆ.

1. JAK długo siedzisz już
na swej niedoli?
Bacz! bo wysiedzisz mi jeszcze
jaje,
bazyliszkowe jaje,
z przydługiej biedy swej.

Czemuż się Zaratustra skrada popod górą?

Nieufny, zbolały, posępny,
czatownik cierpliwy —,
lecz nagle, błysk,
jasny, straszliwy, grom
ku niebu strzelił z przepaści:
— aż w łonie góry zadrżały
wnętrzności.

Gdzie nienawiść i grom
jednem stały się, k l ą t w ą —,
na górach mieszka Zaratustry gniew,
jak czarna chmura wlecze się swą drogą.

Skryj się, kto masz ostatni schron!
Do łóżek precz, przeczuleńce!
Oto się gromy toczą po sklepieniach,
drży, co jest sprzęgłem i murem.
Trzaskają pioruny i prawdy siarczyste —
Zaratustra k l n i e...

2. TEN pieniądz, którym
świat cały płaci,
s ł a w ę —,
przez rękawiczki biorę pieniądz ten,
ze wstrętem depczę, p o d stopą go mam.

K t o chce zapłaty?
Przedajni...
Kto t a n i, sięga
dłońmi tłustemi
po to świata brzękadło blaszane, po sławę!

— C h c e s z ż e ich kupić?
Wszyscy są przedajni.
Lecz dużo płać!
Dzwoń pełną kiesą!
— inaczej ich wzmocnisz,
umocnisz inaczej ich c n o t ę...

Wszyscy oni cnotliwi.
Sława i cnota — się godzą,

Odkąd świat żyje,
cnoty paplanie
grzechotką sławy płaci —,
świat ż y j e zgiełkiem tym...

W obliczu wszystkich cnotliwych
chcę winnym być,
zwać się winnym każdej wielkiej winy!
Wobec huczących sławy trąb
robakiem staje się ma duma —,
pośród nich chciałbym
n a j n i ż s z y m być...

Ten pieniądz, którym
świat cały płaci,
s ł a w ę —,
przez rękawiczki biorę pieniądz ten,
ze wstrętem depczę, p o d stopą go mam...

3. CICHO! —
O rzeczach wielkich — w i d z ę wielkość! —
trzeba milczeć
lub mówić górnie:
mów górnie, moja mądrości w zachwycie!

Spoglądam wzwyż —
tam morza się toczą świetlane:
— o nocy, ciszo, jak śmierć głuchy zgiełku!...
Widzę znak —,
z najdalszych dali,
wieniec gwiazd skrzących zwolna spływa ku
[mnie...

4. NAJWYŻSZA gwiazdo bytu!
Wieczystych rzeźb tablico!
Ty schodzisz ku mnie? —
Czego nie widział nikt,
Twa krasa niema,
jak to? nie pierzcha przed spojrzeniem mem?

Tarczo konieczności!
Wieczystych rzeźb tablico!
— przecież ty wiesz:
co wszyscy nienawidzą,
co jeno j a kocham,
że jesteś w i e c z n a!
żeś jest k o n i e c z n a!
Miłość moja wieczyście
od konieczności jeno się rozpala.

Tarczo konieczności!
Najwyższa gwiazdo bytu!
— której życzenie nie dosięga żadne,
i żadne »nie« nie kala,
wieczyste »tak« bytu,
jam wiecznie jest twem »tak«:
b o w i e m c i ę k o c h a m, o w i e c z n o ś c i!——

TREŚĆ.

Str.

Przedmowa 1
Dlaczego jestem tak mądry 8
Dlaczego jestem tak światły 25
Dlaczego tak dobre piszę książki 49
Narodziny Tragedyi 61
Niewczesne Rozmyślania 67
Ludzkie, Arcyludzkie 73
Jutrzenka 80
La Gaya Scienza 83
Tak rzekł Zaratustra 85
Poza dobrem i złem 100
Genealogia moralności 102
Zmierzch bożyszcz 103
Sprawa Wagnera 106
Dlaczego jestem przeznaczeniem 114
Sława i Wieczność 116

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
14
30878/2